Agata Tuszyńska

RODZINNA HISTORIA LĘKU

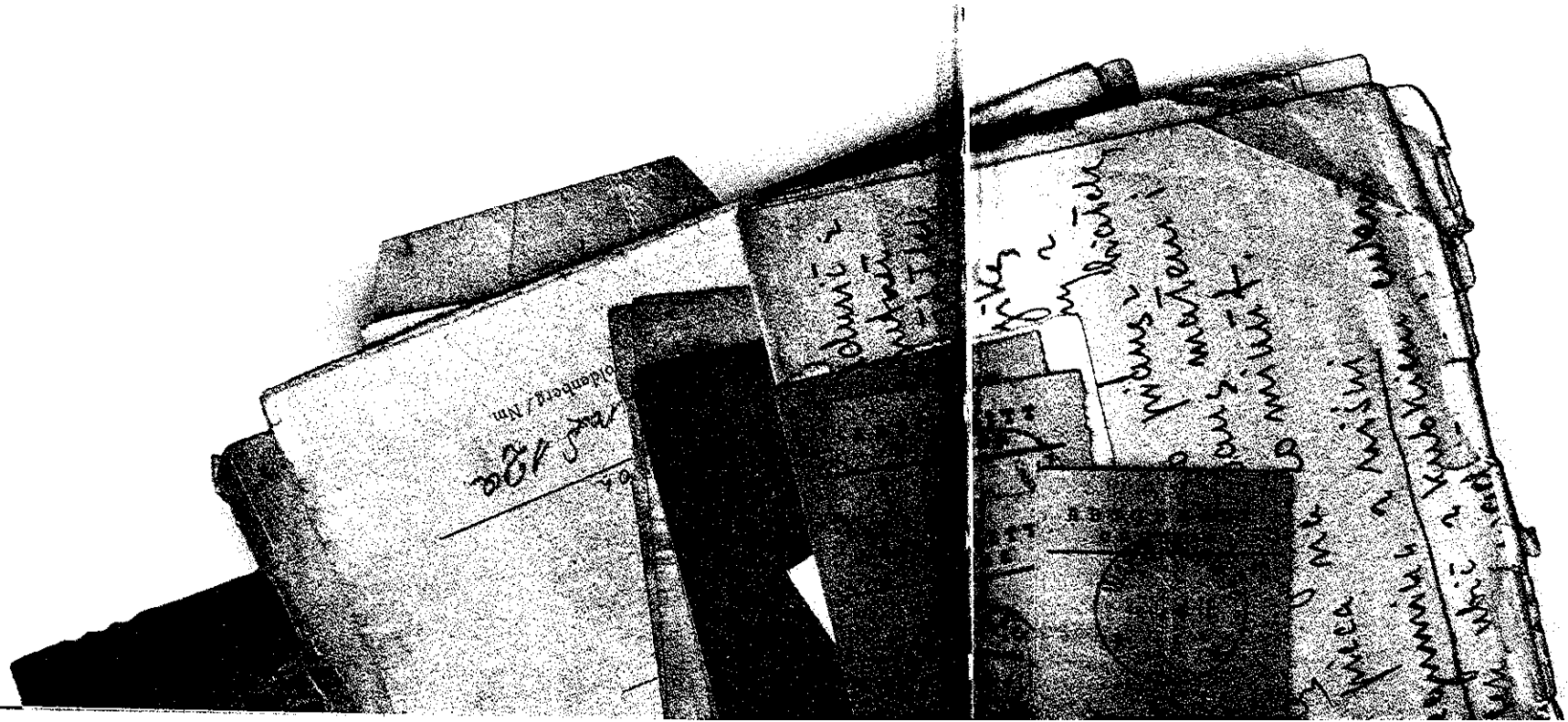

Wydawnictwo Literackie

1606

BIBLIOTEKA KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ
UNIWERSYTET WARSZAWSKI

1606

1000342037 DiKS

Ta książka jest we mnie od lat. Jak ta tajemnica. Od chwili kiedy dowiedziałam się, że nie jestem tym, kim sądziłam, że jestem. Od momentu kiedy moja matka zdecydowała się powiedzieć mi, że jest Żydówką.

Miałam dziewiętnaście lat, ale nie od razu zdałam sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Ani z ich konsekwencji. Minęło co najmniej dziesięć lat, zanim zaczęłam oswajać się z tą myślą, i jeszcze kilka, zanim potrafiłam coś z tym zrobić. Wychowałam się w polskiej rodzinie. Długo żyłam w schizofrenicznym rozdwojeniu, nie umiejąc ujawnić światu tej strasznej, jak sądziłam, prawdy. Ta książka jest zapisem mojej historii.

Urodziłam się w Polsce, w Warszawie, kilkanaście lat po wojnie. Miałam *niebieskie oczy i jasne włosy, co stanowiło niezrozumiały powód do* dumy dla mojej czarnookiej i czarnowłosej matki.

Dziś wiem, że chciała mieć polskie dziecko, z obawy, że mógłby je spotkać los podobny jej własnemu. I choć wojna wydawała się przeszłością, w nowej socjalistycznej Polsce, gdzie wszyscy mieli być równi, zdecydowała się ukrywać swoje pochodzenie.

Jesteśmy pamięcią. Tym, co pamiętamy. I tym, co o nas pamiętają inni.

SEKRET

Coraz częściej myślę, że bardziej jeszcze jesteśmy niepamięcią. Tym, co zapominamy. Co w geście samoobrony wymazujemy z pamięci, wypieramy ze świadomości, omijamy w myślach. Unieważniamy, żeby było łatwiej lub lżej, żeby nie bolało albo nie przypominało bólu.

Nie pamiętam, kiedy moja matka powiedziała mi, że jest Żydówką. Nie pamiętam ani tamtego dnia, ani pory roku, ani miejsca przy stole lub oknie, ani tonu jej głosu, ani treści jej słów. Nie pamiętam takiej rozmowy. Nic nie pamiętam.

Może powiedziała, że podczas wojny ukrywała się w piwnicy. To nie musiało znaczyć nic więcej, w piwnicach i schronach ukrywało się wielu Polaków. Może powiedziała, że musiała uciekać przed Niemcami, znowu jak inni — ścigani przez Niemców, zabierani w łapankach, rozstrzeliwani na ulicach lub w lasach, zsyłani do obozów — Polacy.

Nie pamięta, jak to zrobiła, ale na pewno nie zaczęła od prześladowań i muru, piętna, naznaczenia, żółtej łaty. Zaczęła opowiadać mi historie. Najpierw o firance. Potem o mufce i o popielicach. Potem o dorożce sprzed murów getta. Nie od razu. Powoli. Żeby było łatwiej.

Nie chciała, żebym miała garb. Była szczęśliwa, że urodziła niebieskooką dziewczynkę z jasnymi włosami. Dziewczynka miała polskiego ojca. Wychowywała mnie do życia w tym kraju.

Nie chciała zrzucać dziecku na barki ciężaru, którego nie będzie w stanie udźwignąć. Nie chciała, żeby jej córka rosła w lęku i poczuciu krzywdy. Sądziła, że można poruszyć ten temat, kiedy będzie mogła to unieść i ewentualnie się bronić.

Twierdzi, że powiedziała mi to, kiedy skończyłam dziewiętnaście lat. Nie mam powodu jej nie wierzyć.

Każda rodzina ma historię. Wiele polskich rodzin ma historie tragiczne. W owych czasach nie zawsze dzielili się z dziećmi swoimi wojennymi doświadczeniami — udziałem w konspiracji, AK, walką w powstaniu warszawskim czy w lesie. Dopiero po latach zaczynali opowiadać o swo-

pokoleniowe więzi, wzajemnie dodawało sił. Ale wiadomość mojej matki nie należała do tego rodzaju. To było coś więcej. Bardziej. Nie tylko w rozmiarze cierpienia i tragedii, ale również w jej konsekwencjach. Nie było się czym chwalić, do czego nawiązać ani z czego czerpać. Nie istniał ani heroizm śmierci, ani patriotyczne wzory, ani świętość tradycji, ani nadzieja przyszłości. To trzeba było ukryć. To coś.

Musiały minąć lata, zanim znalazłam w sobie siłę na przyjęcie tej wiadomości. Zanim dopuściłam ją do świadomości, która się przed tym broniła. Potrzebowałam czasu, żeby to przyjąć. Ciągle — nie zaakceptować, ale rozważyć w sobie taką możliwość. I to się stało po kolejnych dziesięciu latach.

Czy się stało? Czy mogę o sobie powiedzieć: jestem Żydówką?

Nie.

Czy rzeczywiście moja matka opowiadała mi swoje wojenne historie? Czy opowiadała, czy może tylko chciała opowiedzieć, ale nie miała siły. Nie, nie wrogość pije się z mlekiem matki. Dziedziczy się lęk.

O futrze. Futro trzeba wietrzyć. Szczególnie tak porządne futro, jak popielice. A jeszcze futro, które leżało przez kilka lat na przechowaniu po aryjskiej stronie. Kiedy mama ze swoją matką wyszły z getta i zamieszkały w pierwszej kryjówce, wychodziły wieczorami na spacer. Bały się, że ktoś je zobaczy i doniesie, ale chciały zaczerpnąć powietrza i rozprostować kości. Babka chciała też wietrzyć futro. Ale ono i tak zaczęło się rozłazić. Może już przedtem za długo dusiło się bez powietrza. Futro szybciej się psuje niż człowiek. Z bólem serca babka kazała je pociąć na kołnierze. Na powojennym zdjęciu w Zakopanem moja mama ma mufkę z popielic, z futra, którego nie udało się uratować.

O firance. Ta historia to właściwie historia o soli. Mama z babką ukrywały się w niewielkim mieszkaniu na Krasińskiego 18, na IV Kolonii, gdzie przed wojną mieszkały. U dwóch sióstr służących, które pracowały w sąsiedztwie. A więc ukrywały się we wnęce kuchennej. Za firanką

SEKRET

Ugotowała mu zupę, krupnik, ale nie dosoliła. Narzekał. Poszła pożyczyć sól do sąsiadki. A on postanowił sam poszukać soli. Za firanką. Mama miała dwanaście lat i wstrzymała oddech. Jej matka przytrzymała firankę. Zorientował się. Musiały się wyprowadzić.

Gdyby zupa była przesolona albo po prostu dość słona, mogłyby zostać razem za firanką jeszcze jakiś czas. Aż do chwili, kiedy potrzebny byłby nagle młotek lub miska, bo je także tam chowano.

Gdyby narzeczony chciał, mógłby od razu wysłać je na gestapo.

Gdyby...

Jeśli to prawda, że w ogóle opowiadała, musiała opowiadać nie po kolei. Historia o dorożce, mimo iż dotyczyła tego, co wydarzyło się najpierw, nie nadawała się do opowiedzenia jako pierwsza. Może w ogóle nie należało jej opowiadać?

Kiedy moja mama wychodziła z zamkniętej dzielnicy żydowskiej na drugą stronę muru, było lato. Zimny sierpniowy dzień. Deszczowy. Nieduża dziewczynka z czarnymi warkoczami miała na sobie kilka par prążkowanych pończoch i dwie sukienki, założone jedna na drugą, no i jeszcze granatowy płaszczyk z kołnierzykiem i chusteczkę zawiązaną pod brodą. Szła ze swoją mamą, która trzymała ją mocno za rękę. Miały przejść przez budynek sądów na Lesznie. Wiedziała, że ma iść pewnym krokiem, bez wahania. Ciągle w tłumie, najlepiej w tłumie, jak inni, jak wielu – Żydów i nie-Żydów, po prostu interesantów, schodami na górę, korytarzami i znów schodami, w dół. Tylko tyle. Aż tyle. Mozolnie. Nie zauważyła, jak matka zdjęła opaskę. Nikt nie zwracał na nie uwagi.

Nie pamięta twarzy tych ludzi, którzy wyrośli przed nimi jak kolejny mur. Kilku mężczyzn i jedna kobieta, też w chustce, spod której wychodziły kosmyki włosów. Bały się Niemców. Ale to nie byli Niemcy. „Żydówo, dawaj, co masz", usłyszały. „Bo zawieziemy cię na gestapo".

Skuliły się, jak przyłapane na gorącym uczynku. Matka mojej mamy usiłowała się bronić, czemuś zaprzeczać, coś tłumaczyć, wreszcie prosić.

Nic nie odnosiło rezultatów. I wtedy nadjechała dorożka. Polski dorożkarz z sumiastymi wąsami stanął w ich obronie.

„Dajcie spokój tej kobiecie", krzyknął. „Czego od niej chcecie? Nie widzicie, że prowadzi dziecko, ledwo żywe ze strachu?" „Wsiadajcie!", zwrócił się do nich.

W pośpiechu wskoczyły do dorożki. Matka podała umówiony wcześniej adres. W jej głosie było coś więcej niż ulga. Ruszyli. Dziewczynka trzymała się poły jej płaszcza, kiedy mijali kolejne ulice. Jechali długo. Nie poznawały miasta, nigdy zresztą dobrze go nie znały. Zapadał zmierzch. Błyszczały sklepowe wystawy. Mijali tramwaje i czarne niemieckie auta. Jakieś roześmiane towarzystwo wychodziło z narożnej restauracji. Ozdobne kapelusze kobiet wyglądały jak prosto od modystki. Nieco dalej, na dużym placu koło kościoła, kilku chłopców kopało piłkę. Miasto było zajęte sobą. „Świat nie kończy się na Umschlagplatzu", myślały obie. Dorożka wjeżdżała w aleję Szucha, po chwili stanęła przed budynkiem gestapo.

Dorożkarz odwrócił się na koźle: „A co? Myślałaś, Żydówo, że cię nie oddam tam, gdzie twoje miejsce?" Uśmiechał się, popychając je w kierunku bocznego wejścia.

Na uciekinierów z getta czekali polscy policjanci. Zamknęli je w niewielkim pokoju i zażądali pieniędzy. Znowu strach był silniejszy niż jakiekolwiek inne uczucie. Zza drzwi słyszały głosy Niemców i stukot ich butów. W getcie znaczył śmierć. Dziewczynka patrzyła, jak jej matka zdejmuje z rąk pierścionek i obrączkę, a potem zegarek. Po chwili kobieta bez słowa zaczęła rozpinać płaszcz. Sięgnęła do paska od pończoch. Po kolei wyłuskiwała wszyte w płótno złote dwudziestodolarówki. Jedna, druga, trzecia, kładła je na drewnianym stole. Szósta. Stały teraz obie nieruchomo. „Mało", powiedział męski głos – „mało".

Nie miały już nic.

Zapytała, czy może zatelefonować. Chwilę się naradzali, wymieniając sumy, od których dziewczynce kręciło się w głowie. Matka powtórzyła je matowym głosem w słuchawkę. Z kim rozmawiała, kto gotów jest za nas tyle zapłacić? Przychodził jej na myśl tylko jeden człowiek, mąż ciotki,

SEKRET

który zorganizował ich ucieczkę z getta. Umówili miejsce i godzinę. Pod wskazanym adresem przekazano gotówkę.

Były na aryjskiej stronie.

Ta historia żyje we mnie wbrew mojej woli. Odradza się i odrasta w kolejnych wariantach snu. Wraca. Nie umiem się od niej uwolnić.

We śnie to ja jestem dziewczynką w prążkowanych pończochach. Chustka pod szyją jest na pewno moja, ma morski kolor, moje jest też wiaderko pełne piasku, które trzymam w ręku. Nie kopię kamyka, jak inne żydowskie dzieci z ciemnymi oczami, i we śnie zastanawiam się, dlaczego tego nie robię. Oczy mam przecież czarne i wystarczająco przestraszone. Trzeba je ukryć. Idę z mamą. Nie zawsze wiem, czy to jest moja mama, czy może jej mama, moja babka, której nie znałam. Nienaturalnie wyprostowana ściska moją rękę. Świeci zimne słońce.

Idziemy równym krokiem, choć chce mi się biec. Biec i krzyczeć, jakbym po wielogodzinnym błąkaniu się po ciemnym lesie odkryła nagle jasną polanę. Powietrze po drugiej stronie ma inny smak. Oznacza życie.

Wiem, co się stanie. Słyszałam wiele podobnych historii.

Nie pamiętam twarzy tych ludzi, który wyrośli przed nami jak kolejny mur. Myślę o dziewczynce, jej przecież nikt nie uprzedził, ma dwanaście lat i boi się Niemców. Ale to nie są Niemcy. „Żydówo, dawaj, co masz", słyszą, słyszymy. I jeszcze metaliczny dźwięk słowa: gestapo, gestapo, sta, po... Trzask. Potrzask. Nie znałabym tego słowa, mając wtedy tyle lat. Nie było jeszcze książek o wojnie. Znałam je później, choć ciągle nosiłam piasek w wiaderku.

Mama, a może babka, zasłania rękami twarz, jak dziecko, i powtarza w kółko: „Zostawcie nas, zostawcie..." Nie mogę się poruszyć. Patrzę na nich. I powoli rozpoznaję kolejne twarze... sąsiadów, znajomych, przyjaciół. Patrzę im w oczy. Ziemia się nie rozstępuje.

Wtedy nadjeżdża dorożka.

Dorożkarz ma wąsy, polskie wąsy, jak mój żydowski pradziadek, Henryk z Przedrynku w Łęczycy. Nawet porusza nimi jak on, kiedy trzymał

swoją wnuczkę, moją mamę, na kolanach i śpiewał jej piosenkę o pani majstrowej i jej papierowych butach.

„Dajcie spokój tej kobiecie", krzyczy. „Czego od niej chcecie? Nie widzicie, że prowadzi dziecko, ledwo żywe ze strachu?"

Skinieniem ramienia zaprasza nas do wnętrza swojej dorożki. Koń się uśmiecha.

Ale to nie jest dziadek Przedborski, to jego polski brat. Nie na darmo żyli razem, pod jednym dachem, tyle pokoleń. W imię tego domu, wspólnego przez dwa wieki, w jego polskie imię, nie może pozwolić, żeby stała się nam krzywda. Bierze nas pod swoje opiekuńcze skrzydła i oto zaczarowana dorożka turkoce po warszawskim bruku i wiezie nas, wiezie nas, wiezie. Już, już babka ma wymówić niezręczne słowa podziękowań, zduszone słowa, pełne poczucia wstydu i wdzięczności, i czego tam jeszcze, już ma się to stać, kiedy nagle gwałtownie skręcamy. Sypie się piasek z mojego wiaderka. „Wiaderko – myślę – skąd tu wiaderko". Klepsydra może, piasek, przesypujący się czas. Ostatnie chwile.

Zbliżamy się do alei Szucha.

„Myślałaś, Żydówo, że cię nie oddam tam, gdzie twoje miejsce?"

Co zrobić z tym snem, myślałam? Co zrobić z tym opowiadaniem? Życie kosztuje, kosztuje, trzeba się wypłacić, opłacić. Nie starczył pierścionek zaręczynowy i ślubna obrączka, nie starczył złoty zegarek Omega ani złote monety zaszyte w pasek od pończoch. Matce z córką dali jeszcze jedną szansę. Bogaty krewny. Nie zawsze znajdzie się bogaty krewny. Witajcie po aryjskiej stronie.

Jeszcze po przebudzeniu trzymam za rękę tę dziewczynkę. I bronię jej przed polskimi braćmi. A później zastanawiam się, jaka ja sama mogłabym być wobec niej. Zastanawiam się, czy nie bałabym się bawić z nią na moim podwórku, czy przyniosłabym jej wieczorem do zjedzenia moją kromkę chleba z cukrem. Czy starczyłoby mi sił, jak innym starczało, żeby ją ukrywać w mojej szafie albo na moim strychu. Także wtedy, kiedy już skończyły się pieniądze, a nadziei nie było.

Najłatwiej jest nic o tym wszystkim nie wiedzieć.

Czy o to ci chodziło, mamo?

SEKRET

Moi rodzice zaczynali od zera. Wzięli ślub w 1955 roku, pamiętnym dzięki Międzynarodowemu Festiwalowi Młodzieży i Studentów, kiedy do Warszawy pierwszy raz po wojnie zjechali młodzi ludzie z całego świata. Wkrótce oboje zamieszkali w sublokatorskim pokoju, we wspólnym mieszkaniu z dwiema innymi rodzinami. To był mój pierwszy dom, którego nie pamiętam. Po kilku latach rodzice otrzymali przydział na własne mieszkanie, co było przywilejem rzadko spotykającym młodych ludzi. Klocki jednakowych, betonowych bloków stały równo na polu, na którym jeszcze niedawno kopano ziemniaki. W odległej od centrum dzielnicy miasta, robotniczej Woli, ulicę nazwano imieniem rewolucjonisty Marcina Kasprzaka. Szara fotografia z tamtych lat przedstawia dziwaczny wózek spacerowy na małych kółkach, z wywiniętymi bokami, stojący przy trzepaku, który wkrótce stał się sercem podwórka. W środku leży tłusta dziewczynka z wydętymi jakby drwiąco wargami.

Nasze mieszkanie na pierwszym piętrze składało się z dwóch pokoi z kuchnią i balkonem. Było jasne i czyste. W łóżeczku z siatką szybko zaczęłam chodzić. Niewiele wcześniej moja jedyna babka, matka ojca, nie pytając nikogo o zgodę, zabrała mnie do kościoła i ochrzciła. Chrzestny zapomniał o uroczystości, grał w karty.

Ojciec pochodził z kolejarskiej rodziny z Łodzi. Mama miała krewnych jedynie w Warszawie. Moi rodzice byli młodzi i bardzo chcieli żyć. Bawić się i śmiać, zapomnieć o wojennym dzieciństwie. Popierali nową rzeczywistość. Podczas studiów na wydziale dziennikarskim działali w młodzieżowej organizacji ZMP, nosili czerwone krawaty, chodzili na wiece i klaskali na zebraniach kolektywu, pełni zapału dyskutowali tezy marksizmu i leninizmu. Chcieli budować swoje życie bez oglądania się wstecz. Stare płótna i złocone ramy wydawały im się przeżytkiem poprzednich epok, u siebie na ścianach wieszali reprodukcje paryskiej awangardy. Miró i Picasso, których wtedy nie umiałam nazwać po imieniu, straszyli mnie od dzieciństwa grymasami twarzy, wielością uszu i nosów. Pluszowe kanapy i biedermeierowskie fotele urągały nowoczesnej estetyce moich rodziców. Meble zamówili u modnego projektanta, który potraktował nasz salon jak eksperymentalny poligon dla swoich pomysłów. Połączenie czarnego metalu, szkła i jaskrawych plastyków tworzyło efektowną, lecz niezbyt

funkcjonalną całość. Kolorowe krzesełka w kształcie odwróconych stożków z obciętymi wierzchołkami, na trzech nogach, stanowiły wymyślną torturę. Trudno było na nich wysiedzieć, jeszcze trudniej się od nich uwolnić. Krajobraz modernistycznego kaprysu ratowały książki, z czasem coraz tłumniej wypełniające półki, których zawsze okazywało się za mało.

Nasz dom był pełen światła. W niedzielne przedpołudnia, bardziej od innych leniwe, obserwowałam ciepłe plamy słońca falujące na miodowej podłodze w dużym pokoju. Zamykałam to jedno, to drugie oko i widziałam je za każdym razem z innej perspektywy, w innym kadrze, choć nie ruszałam głową. Nie rozumiałam tej zmiany optyki i zdawało mi się, że jest wynikiem jakiejś poważnej choroby, której się wstydziłam.

Ojca pamiętam z domu słabo. Nigdy nie widziałam rodziców razem we wspólnym łóżku, nigdy przy stole ani na spacerze. Na mojej ulubionej fotografii mama siedzi ojcu na kolanach, w plażowym koszu nad morzem. Obejmują się i śmieją, jakby wszystko jeszcze miało i mogło się zdarzyć.

Już w gimnazjum, w 1947 roku, ojciec założył szkolny radiowęzeł. Chciał być sprawozdawcą sportowym. Niedługo później zgłosił się na konkurs do radia, ale odrzucono go, twierdząc, że nie ma szans w zawodzie reportera z powodu zbyt „szpiczastego", jak to określono, głosu. Nie rezygnował.

„Tu helikopter, tu helikopter, mówi Bogdan Tuszyński", tak rozpoczynał relacje z kolejnych etapów dorocznego kolarskiego Wyścigu Pokoju na trasie Warszawa–Berlin–Praga. Głos mojego ojca znała cała Polska.

Sport był wówczas sprawą narodowej wagi. Może z braku innych patriotycznych spełnień ten wyścig kolarski pasjonował wszystkich — dorosłych i dzieci. Wydawało się, że przez całe lata sześćdziesiąte w ciągu tych dwóch majowych tygodni nie działo się w kraju nic ważniejszego. Mężczyźni gromadzili się przed głośnikami na ulicach miast, słuchając transmisji z górskich premii i lotnych finiszów. Głos z radioodbiorników nastawionych na cały regulator w każdym niemal mieszkaniu odbijał się echem na osiedlowych podwórkach. Na moim także. Zewsząd dochodził głos mojego ojca. Napięcie sięgało zenitu tuż przed metą.

SEKRET

Miliony Polaków wstrzymywały oddech. Gdy był w dobrym humorze, pozdrawiał mnie na zakończenie.

Relacje ojca z kolejnych etapów zmagań polskiej drużyny były czymś więcej niż tylko sprawozdaniami ze sportowego widowiska. Stawał się wyrazicielem zbiorowych uczuć, twórcą narodowej legendy. Dzielenie wspólnych emocji zbliżało go do słuchaczy i sprawiało, że czuli się sobie bliscy. Traktowano go jak swego. Ojciec, niewiele po trzydziestce, stał się postacią popularną w całym kraju. Gdzie tylko się pojawił – w sklepie, na poczcie, w kawiarni – poznawano go po głosie. Byłam z tego dumna.

Pamiętam kilka jego nocnych powrotów z daleka. Budził mnie wtedy, siadałam rozespana na podłodze, a on rozpakowywał pachnące dalekim światem walizki. Ich wnętrza były kolorowe, wzbierały szeleszczącymi ubraniami, apaszkami dla mamy, jedwabiem, cienką wełenką, której próżno było szukać w sklepach Galluksu, koronką, perfumami Chanel i niepowtarzalnym smakiem mlecznej czekolady Sucharda. On sam wydawał się inny, jakby miejsca, które odwiedzał, zostawiały na nim własne ślady. Trzeba było się od nowa do niego przyzwyczajać, do jego zapachu i dotyku rąk, a wtedy odjeżdżał znowu. Ojciec zawsze był w drodze.

Zagraniczne wyjazdy w owych czasach, kiedy o paszport należało się każdorazowo starać, stanowiły wielki luksus. Były furtką do świata zupełnie nam niedostępnego, którego zdobycze miały dla mnie smak coca-coli i czekoladek w błyszczących papierkach. Nie wyrzucałam ich i podziwiałam nie blednące kolory.

Powroty ojca wyznaczały kalendarz naszej codzienności. Uczyłyśmy się czekać obie. Ja bardziej cierpliwie, mama mniej. Przysyłał z daleka kolorowe pocztówki. Układałam je w niezliczone konstelacje – moje dziecinne pasjanse na podłodze. Innsbruck, Tokio, Mexico City, Paryż, Berlin... już same nazwy miast wywoływały niepokój i nie kończące się marzenia. Zanim poszłam do szkoły, dostałam w prezencie globus. Później zaczęłam zbierać mapy i uczyć się na pamięć stolic i flag obcych krajów.

Czytałam wcześnie i dużo. I jakoś tak zachłannie. Uciekałam w wymyślone światy, jakby ten, w którym uczestniczyłam, nie był dość rzeczywisty. Lubiłam bajki o czarodziejach i koraliku spełniającym życzenia.

Mama czytała mi wiersze. Wkrótce sama wybierałam książki, obok Mary Poppins i Ani z Zielonego Wzgórza – wspomnienia z okresu wojny, okupacyjne i obozowe pamiętniki, o Auschwitz i Birkenau. Nie wiem dlaczego, ale potrzebowałam tamtej lektury.

Lubiłam grę w chowanego, pewnie bardziej niż moi rówieśnicy. Lubiłam się przebierać, mierzyć coraz to inne stroje i nakładać na twarz puder i szminki. Wiele godzin spędzałam w szafie. Miała duże lustro na drzwiach. Czasami zamykałam się w środku jak w pałacu lub twierdzy. Lubiłam siedzieć w kącie, ale lubiłam też występować na scenie. Miałam sześć lat, kiedy zagrałam królewnę w przedszkolnym przedstawieniu. Ciągnęły mnie światy inne niż mój.

Najpierw była droga. Jedyne bezpieczne chwile dzieciństwa, kiedy jechaliśmy w odwiedziny do Łodzi – do babci, do rodziny ojca. Wszystko miało sens, bo rodzice byli razem. Ojciec za kierownicą czarnej skody octavii, mama przy nim, ja na tylnym siedzeniu. Nie musieli zwracać na mnie uwagi – i tak byłam szczęśliwa. Słyszałam ich głosy, czułam ich obecność. Nic złego nie mogło się zdarzyć. Leżąc, patrzyłam na usuwające się spod nóg, a może spod kół, z pola mojego widzenia, kawałki nieba. Kolejny błękitny fragment zastępował następny i następny, pierze chmur i policzki obłoków zlewały się w jedno długie pasmo, jak ogon olbrzymiego latawca, który trzymałam na niewidocznej nitce. Potem robiło mi się niedobrze i siadałam, by patrzeć przez okno na inny kalejdoskop. Za szybą z podobną prędkością migały płoty, podwórka, drzewa i pola, zagrody i obejścia. Nie moje, ale gdzieś tam głęboko własne, za Sochaczewem, za Łowiczem, na przedmieściach Łodzi.

Przez podmiejski dom mojej babci przejeżdżały pociągi. Dzwoniły szklanki i kieliszki w kredensie, chlupotała woda w wazonach, zupa pomidorowa wylewała się na talerz do drugiego dania. Babka nieomylnie oznajmiała „pospieszny do Gdyni" albo „osobowy do Opola". Pociągi jechały przez okrągły stół w dużym pokoju, przykryty niedzielnym obrusem. Budziły koty drzemiące w rozgrzanych łatach słońca, naruszały spokój studni i drzew owocowych. Na Perłowej 4, niedaleko torów, wszyscy je znali. Nawet moje lalki z Warszawy po kilku dniach pamiętały

SEKRET

bezbłędnie grafik przyjazdów i odjazdów ze stacji Łódź Kaliska. „Pociągami jadą podróżni do swoich królestw", tłumaczyłam im i sobie. A potem wybiegałam przed dom, żeby pomachać stojącym w oknach szczęśliwcom, których wagony wiodły do nie znanego mi, a przez nich wybranego celu. Droga była marzeniem, obietnicą przygody.

Mój pradziadek Jan, ojciec babki Mani i jej licznego rodzeństwa, był kolejarzem. Lubił chodzić w mundurze i nosił go tak, jakby się w nim urodził, choć pochodził z czworaków, z biednej wsi pod Koluszkami. W dzieciństwie pasł krowy i nie dojadał. Jako młody pracownik carskiej kolei, którą wtedy nazywano „żeleznodarożnaja", prowadził pociągi tysiące kilometrów w głąb Rosji, aż na Daleki Wschód. Jeździł tam kilkakrotnie i długo nie wracał, nie tylko z powodów służbowych. Jego żona, Rózia, zawsze przyjmowała go z powrotem. Urodziła mu jedenaścioro dzieci. Przeżyło pięcioro. Najstarsza była moja babka Mania.

Dom, do którego przyjeżdżaliśmy – drewniany, jednopiętrowy, niedaleko stacji – dziadek postawił w połowie lat trzydziestych. Długo musiał składać pieniądze, choć zarabiał dobrze. Nie pił wtedy ani kropli. Sam wybrał, zamówił i suszył drewno. Jego pierwszy wnuk, Boguś, mój ojciec, bawił się na kolanach u dziadka kolejarskimi pieczątkami i „cebulą" na dewizce, odliczającą minuty przyjazdów i odjazdów pociągów. Uczył się cyfr i punktualności.

Lata później pradziadek godzinami siedział na ławeczce przed domem w wyglansowanych butach i kolejarskiej czapce z daszkiem i złotym otokiem, jakby ciągle był na służbie. Kopiowym ołówkiem zapisywał w notesie słupki cyfr. Mruczał coś pod nosem. Liczył czas lub złoto. Byłam jego pierwszą prawnuczką. Pozwalał mi ciągnąć siwe wąsy i gnieść świeżo odprasowane spodnie od munduru.

Po pradziadku została prababka z cieniutkim siwym warkoczykiem, czerstwą, pomarszczoną twarzą, ogorzałą od słońca i wielogodzinnych wędrówek po lasach. Nauczyła mnie zbierać grzyby. Święto grzybobrania do końca nie straciło dla niej smaku niespodzianki i jestem pewna, że czekanie na deszczową jesień znacznie przedłużyło jej życie. Zmarła po dziewięćdziesiątce.

Jej córka, moja babcia Mania, żyła dla innych. Cała liczna rodzina, z tuzinami kuzynek i krewnych, była na jej głowie. Znała ich dolegliwości, diety, kłopoty z dziećmi i sytuację finansową. Pocieszała, przytulała, pomagała. Babcia była zawsze po mojej stronie, nawet kiedy musiała się sprzeciwić mojemu ojcu, ukochanemu synowi. A on się nie mylił.

Przygotowywała kilometry makaronu, tysiące klusek na parze i knedli ze śliwkami. Wekowała gruszki i śliwki, marynowała i suszyła grzyby. Kiedy nikt nie widział, płakała. Pięknie haftowała kolorowym kordonkiem zwierzęta i ptaki, monogramy na przedszkolnych i szkolnych workach. Robiła kilimy pełne jesiennych liści. Miała chabrowe oczy i zabierała mnie na łąki za torami. Z nią chodziłam czasami w niedzielę na sumę. A po kościele na odpust, gdzie kupowała mi watę na patyku i złoty pierścionek z rubinowym lub szafirowym oczkiem. Nie odmawiała mi niczego.

Świat ulicy Perłowej był światem prostym. Jak podłoga z desek w kuchni, szorowana ryżową szczotką raz w tygodniu. Jak chłodna sień, gdzie stały wiadra z wodą, gumiaki, łapki na myszy i bańki na mleko. Mleko brało się od krowy, jarzyny z grządek w ogrodzie. Rwało się jabłka z drzew albo słuchało deszczu. Czytało znaki ziemi, nie książek. Nic się nie kryło pod podszewką tamtej codzienności.

Ojciec coraz więcej pracował. I wszystko było nieco inaczej, kiedy byłyśmy same.

Mama zabierała mnie do Kazimierza nad Wisłą, malowniczego miasteczka wśród wąwozów, w którym czas się zatrzymał. Rynek otoczony renesansowymi kamienicami, z drewnianą studnią pośrodku, przypominał obraz. Obok kościół farny i klasztor, tajemnicze ruiny zamku i Góra Trzech Krzyży. Bawiłam się tam często z dziećmi, zwykle przyjezdnymi jak ja, na wielkim zalesionym wzgórzu, położonym nieco na uboczu. Wśród paproci i mchu, w iglastej podściółce, na ścieżkach i w zaroślach natrafialiśmy czasem na kawałki kamiennych tablic. Składaliśmy je, próbując połączyć w płaskorzeźby dłoni, ptaków, ksiąg. Liśćmi omiataliśmy fragmenty napisów w niezrozumiałym języku. Odkrywaliśmy brzuch ziemi. Ktoś powiedział, że był tu żydowski cmentarz.

Żydów nie znałam.

Katedra Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej U. Wr.

SEKRET

Podobno kino z drewnianym sklepieniem, gdzie oglądałam filmy dla dzieci, w tym samym miasteczku nad Wisłą, było kiedyś ich kościołem. Mówiono o nim „synagoga". Miałam trudności z zapamiętaniem tej nazwy. Obrazy i akwarele, jakie artyści sprzedawali na rynku, zaludniali czarno ubrani mężczyźni. Na płótnach mieli brody, kapelusze lub małe okrągłe nakrycia głowy i loki okalające twarze. W ich oczach widziałam tęsknotę.

W domu słowo „Żyd" słyszałam rzadko. Tylko z ust ojca i zawsze szyderczym tonem. Żydzi uosabiali w jego oczach nieokreśloną, wszechobecną winę za wszystko, co nie szło tak, jak oczekiwał. Uważał, że się panoszą i odbierają innym należne przywileje. Obarczał ich odpowiedzialnością za niepopularne decyzje, doraźne kłopoty w pracy, brak opon do skody. Czasami wskazywał palcem postaci na ekranie telewizora, jakby się uczył odróżniać ich od innych. Oni. Inni. Było nie do pomyślenia, aby mogli się znaleźć nie tylko w naszym domu, ale nawet w kręgu znajomych.

Nie rozumiałam, co to wszystko znaczy. Nigdy nie spotkałam Żyda.

Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałam siedem lat. Nie wiedziałam, dlaczego ojciec nas opuścił. Długo stawiałam w przedpokoju jego kapcie, wierząc, że wróci. Wstydziłam się przed koleżankami, że z nami nie mieszka, i mówiłam, że wyszedł tylko na chwilę. Sytuacja była tym trudniejsza, że wszyscy znali go i podziwiali. Dyrektorka szkoły mówiła o mnie „córka redaktora Tuszyńskiego". Wydawał mi się dzięki temu jeszcze ważniejszy, a tajemnica jego nieobecności bardziej wstydliwa. Tym większą wyrocznią było też każde jego słowo.

Zazdrościłam innym dziewczynkom białych sukienek do pierwszej komunii, długich, z koronkami, białych rękawiczek i wianka. Zazdrościłam pochodu w kwietnej majowej procesji i słów, które wypowiadały dygając: „Święty, święty, święty" – dyg – „pan Bóg zastępów..." Nie rozumiałam powodów, z których mnie to ominęło. Ale nie pytałam o nic. Jakbym gdzieś pod skórą czuła, że nie powinno mnie to dotyczyć.

Zaprzyjaźniłam się wtedy z drugą dziewczynką, która też nie chodziła do kościoła i na lekcje religii. Razem bawiłyśmy się na trzepaku i zagrzebywały w ziemi kolorowe szkiełka. Założyłyśmy bractwo listowe, które porozumiewało się codziennie za pomocą korespondencji lakowanej pieczęciami z kolorowej parafiny lub prawdziwego laku. Odpowiadałyśmy sobie na pierwsze, najważniejsze pytania.

Lubiłyśmy pochody pierwszomajowe. W najbliższej okolicy mieściło się kilka fabryk: Zakłady Radiowe imienia Marcina Kasprzaka, Zakłady Wytwórcze Lamp Elektrycznych imienia Róży Luksemburg i produkująca leki Polfa. Zakładowe orkiestry zaczynały już od rana grać marsze, robotnicy w odświętnych ubraniach z transparentami i szturmówkami gromadzili się na ulicach. Panował nastrój uroczysty i pełen uniesienia. Zbieraliśmy się przed szkołą, w harcerskich mundurkach i białych podkolanówkach, tego dnia zawsze nowych. Wyznaczano starszych do pocztu sztandarowego i czworo ochotników do niesienia hasła-motta z Maksyma Gorkiego, patrona naszej szkoły – „Człowiek to brzmi dumnie". Później wraz z innymi maszerowałyśmy przed trybunami naprzeciwko Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina, wielkiej budowli w kształcie tortu, daru ZSRR dla naszej stolicy. Śpiewałyśmy „W majowe święto", wykrzykiwałyśmy „Niech żyje 1 maja!", wymachiwałyśmy wesoło chorągiewkami i kwiatami z czerwonej krepiny. A potem w poczuciu spełnienia jadłyśmy lody Bambino o smaku waniliowym.

Uważałam się za lepszą, a jednocześnie gorszą od innych. Łatwo przystosowywałam się do różnych warunków i sytuacji, które rozwiązywałam bez problemu, ale rzadko zdobywałam się na samodzielne kroki. Lubiłam być w grupie, należeć, a gdzieś tam w środku czułam się wyróżniona i w nieokreślony sposób obdarowana, ważniejsza niż inni. Wykonywałam bez zarzutu wszystkie zadania. Starałam się spodobać innym, wypełniając ich rzekome lub rzeczywiste życzenia. Byłam echem.

Poczucie gorszości tkwiło gdzieś płytko, ale nie potrafiłam odnaleźć jego źródła. Wydawało mi się, że z jakiegoś powodu muszę starać się być lepsza niż inni. Że to jest ważne i wiele od tego zależy. Lepsza, bo tak naprawdę jestem gorsza. Ale tego nikt nie powinien odkryć.

Uczyłam się dobrze. Moje wypracowania o papierowym ptaku lub *Sercu* Amicisa kazano mi czytać na głos wobec całej klasy. Recytowałam

wiersze na akademiach. Przynosiłam piątkowe świadectwa i odznaki wzorowego ucznia. I mnie, i mojej mamie wydawało się to oczywiste. Moja fotografia jako przodownicy nauki wisiała w gablocie na niedalekiej ulicy Wolskiej, tuż obok jednego z niewielu domów towarowych w naszym mieście. Ojciec nie miał czasu jej obejrzeć. Latem pytał, czy gram w piłkę i jeżdżę na rowerze, zimą sprawdzał, czy chodzę na lodowisko. Jeździłam na obozy harcerskie i zdobywałam wszystkie możliwe sprawności terenowe.

Chciałam być duża. Głównie dlatego, żeby w końcu zacząć żyć. Nie czekać, aż życie się zacznie. Chciałam być duża, bo dorośli wiedzą i nie boją się. Dziecinny mój świat pękł na dwie części, których nigdy nie udało się skleić. W miarę upływu lat coraz trudniej było mi uwierzyć, że kiedykolwiek stanowiły całość. Siła, w każdym znaczeniu, została po stronie ojca. Stanowczy, pewny siebie, znany, z zapleczem rozległej rodziny, mocno stał na ziemi i na własnych nogach. Mama, choć pozostająca w związku z innym mężczyzną, wydawała mi się bezbronna.

Na święta Bożego Narodzenia ubierałyśmy z mamą choinkę. Pachniała lasem, jak u innych, ale nie była taka sama. Robiła wrażenie biednej krewnej, której wcale nie należy się odświętny strój. Najprawdziwsza i najweselsza była choinka u babci w Łodzi. Wisiały na niej aniołki, zabawki i orzechy, baletniczka w złotych pantofelkach i myszka w czerwonej czapeczce z dzwoneczkami. Na czubku świeciła gwiazda betlejemska. „Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi, wstańcie pasterze, Bóg się wam rodzi..." Rozłożyste drzewko obsypywano papierowymi gwiazdkami, które babcia plotła wieczorami z pasków papieru razem ze swoimi siostrami. Pachniało drożdżowe ciasto. Czekano na święto narodzin. „Poszli, znaleźli Dzieciątko w żłobie..." — śpiewano kolędy. Szykowano się na przyjęcie Zbawiciela.

Na naszym świątecznym stole leżał opłatek, ale wyglądał gorzej niż gdzie indziej. Długo nie rozumiałam, co symbolizuje. Wydawało mi się, że jest stary, zeszłoroczny, zawsze ten sam. Miał smak kurzu i kiedy należało się nim dzielić, czułam jedynie zażenowanie. Gdzieś był fałsz, ale

nie umiałam go odnaleźć. Coś nie wyjaśnionego, tajemniczego kryło się pod skórą tego dzieciństwa.

Wyczekiwane przez innych święta sprawiały mi kłopot. Czekałam, aż się skończą. Życie biegło w tych dniach gdzie indziej. Zawsze byłyśmy wtedy z mamą same. To mnie bolało. W powietrzu wisiało jakieś nieokreślone niebezpieczeństwo, a wszystkie rytuały wydawały mi się skrojone na inną miarę, kalkowane z cudzego wzoru. Byłyśmy jakby poza nawiasem. Pogłębiała się nasza osobność. Sąsiedzi na piętrach, w oknach naprzeciwko, tworzyli solidne kręgi, spleceni radością wspólnej modlitwy nie dawali do siebie dostępu. Bardziej niż kiedykolwiek byłam im daleka.

Nie cieszyły mnie też specjalnie niespodzianki prezentów. Codzienne marzenia dotyczyły zwykle kolejnych książek i spełniane były na bieżąco. Matka nie pochwalała bezmyślnego wydawania pieniędzy, w myśl zasady: pieniądze trzeba mieć, bo nigdy nie wiadomo, co się stanie. To jej zostało z wojny.

Ojciec mamy, dziadek z Puławskiej, z przedwojennym dyplomem inżyniera, kierował przedsiębiorstwem remontowym zajmującym się odbudową stolicy. Lubił swój gabinet z szerokim biurkiem i dwoma czarnymi telefonami. Często podnosił głos. Fotografował się z wysokimi urzędnikami państwowymi na ceremoniach otwarcia coraz to nowych obiektów i osiedli, przy okazji odsłonięcia pomników i cmentarzy żołnierzy radzieckich, których budowę nadzorował. Wyjeżdżał w delegacje służbowe do Chin i Związku Radzieckiego, skąd przywoził komplety cyrkli, latarki lub aparaty fotograficzne marki Smiena. Skrupulatnie prowadził codzienne rachunki, ograniczając wydatki do koniecznego minimum. Wiele rzeczy uważał za ekstrawagancję, nie tylko papierosy i alkohol, także zelowanie butów w miesiącu, w którym ta pozycja nie znalazła się w planowanym budżecie.

Pomagał mi w pisaniu listów po rosyjsku do Walerki z Leningradu, którą przydzielono mi w szkole do obowiązkowej korespondencji. „No co jest, co?" — mówił do mnie na przywitanie i wykręcał mi ucho. Miało to być wyrazem czułości tego potężnego, surowego mężczyzny, który

SEKRET

czułości nie umiał lub może ją zapomniał. O mojej babci nie mówił nigdy. W 1949 roku ożenił się po raz drugi, z rozsądku, z oschłą i wyniosłą sąsiadką z tego samego piętra. Ślubu udzielał im burmistrz Warszawy. Nie opuszczali cotygodniowych koncertów w warszawskiej filharmonii. Miał podobno absolutny słuch, w młodości grywał na skrzypcach. W piątkowe wieczory w rodzinnym salonie występowali z siostrami w repertuarze kameralnym Ravela i Brahmsa.

Nie wiedziałam, skąd pochodzili i kim byli ich rodzice. Nie widziałam żadnych starych fotografii. Nie mogłam się pochwalić kuzynkami ze strony matki. Ani ich grobami. Ani grobami ich przodków. Nie było wśród nich walecznego powstańca ani bohatera żadnej wojny. Nie pielęgnowano rodzinnych legend. Ani ceremonii.

Najważniejszym zapachem mojego dzieciństwa była woń kuchni ciotki Bronki, siostry dziadka. Uwielbiała gotować i częstować gości. Mieszkali w kolonii małych drewnianych domków na Jazdowie, w środku miasta, nieopodal sejmu i starych parków, jak na wsi. Już od wejścia czułam ten zapach, który po latach rozpoznałam jako zapach czosnku. Byłam w piątej klasie, kiedy ciotka z rodziną nagle wyjechała z Polski. W naszym domu przybyło kuchennych naczyń. Pojawiły się pękate gliniane miseczki na zsiadłe mleko i wielki wybór przyrządów do robienia ciasta. Plastykowe skrobaczki do czyszczenia makutry miały jeszcze smak keksów, szarlotek i niewielkich rogalików z rodzynkami. Moja matka z niepokojem i wypiekami na twarzy słuchała nocą zachodniego radia. A potem pisała za granicę długie listy. W miejscu nadawcy podawała coraz to inne wymyślone nazwiska. Podpisywała listy imieniem naszego psa, jamniczki Nutki. Bała się.

Mój dziadek przestał wymieniać imię ukochanej siostry, a wkrótce potem położył się na tapczanie i nie chciał wstać. Z podsłuchanej rozmowy dowiedziałam się, że jego drzwi wysmarowano ekskrementami. Wyrzucono go z partii i posłano na wcześniejszą emeryturę. Przestał pracować.

Wiele lat później dowiedziałam się, czym był marzec 1968 roku w historii mojego kraju. Antyżydowska nagonka spowodowała ostatnią

wielką falę emigracji Żydów z Polski. Wyjechali ci, którzy zdecydowali się zostać po wojnie i po pogromie kieleckim ani nie skorzystali z możliwości opuszczenia kraju w 1956 roku. Ci, którzy najbardziej czuli się Polakami.

W ogródku na Jazdowie ktoś inny zbierał truskawki i wiśnie. Nawet w Łodzi, na Perłowej, nie było jak dawniej. Zachorowała babcia. Odwiedzaliśmy ją w szpitalu. Dopóki starczało jej sił, pisywała do nas listy. Umarła podczas wakacji. Miałam dwanaście lat, ale nie ja płakałam na pogrzebie. Płakał ojciec. Przy pomniku z białego marmuru z fotografią w sepii, na której nie jest do siebie podobna, postawiono ławeczkę. Przyjeżdżaliśmy tam do niej, choć od początku wiedziałam, że tam najbardziej jej nie ma. Dużo później zdałam sobie sprawę, co oznacza dla mnie jej nieobecność.

Wszystkiemu musiałam stawić czoło sama. Ojca dzieliłam już nie tylko z jego nową żoną, ale i dwiema małymi córkami. Nie było babci, nie było pocieszenia. Nie radziłam sobie z upokorzeniem i nie wiedziałam, na czym polega moja wina. Z niedzielnych obiadów od ojca (zupa pomidorowa, kotlet schabowy, kompot z gruszek) wracałam najedzona i smutna. Nasz dom wydawał mi się pusty, a wysiłek, by ojciec mi przebaczył — daremny.

Stawałam na przystanku tramwajowym w alei Niepodległości we wczesne niedzielne popołudnia. Byłam sama. Już zdecydowali się wypuszczać mnie z domu samą. Ściskałam w ręku sztywny banknot tysiąc-złotowy. Alimenty, suma, którą ojciec co miesiąc od kilku lat dawał na moje utrzymanie. Sposób, w jaki moi rodzice po rozstaniu porozumiewali się ze sobą w mojej sprawie. Banknot był zwykle nowy, jakby wyjęty spod prasy drukarskiej. Wiedziałam, że nie mogę go zgubić. Kiedy byłam mniejsza, wyobrażałam sobie, że to duża suma. Później poznałam wartość pieniądza i zastanawiałam się, dlaczego tak mało jestem dla niego warta.

Czekałyśmy wszystkie. Zwykle w domu, w kolejnym jego mieszkaniu, które zmieniał w miarę możliwości i powiększania się rodziny. Dzwonił

kilkakrotnie, z impetem otwierał wejściowe drzwi, wnosząc duże walizki i torby. Potem witał się z żoną i dwiema małymi córkami, zanim przyszła moja kolej. Najstarszej. Tej obcej. Tej od innej matki.

Zawsze miałam wrażenie, że im przeszkadzam, że przeszkadzam, kiedy witają się po tygodniach niewidzenia. Że przeszkadzam, kiedy chcą cieszyć się sobą i w spokoju odbyć kolejną uroczystość podziału prezentów. Ileż razy obiecywałam sobie, że już nigdy nie znajdę się wtedy w jego domu. Ileż razy powtarzałam to sobie, żeby już na pewno zapamiętać i nie zapomnieć. Ale wracałam. Wracałam przyciągana niepojętą siłą. Jak upokorzona na miejsce swojej klęski. Potem uciekałam do łazienki albo na dół, do gabinetu ojca, gdzie była szafa, w której można się było schować. Stamtąd nic nie było słychać, ani ich radości, ani mojej rozpaczy.

Kiedy urodziła się moja pierwsza przyrodnia siostra, miałam dziewięć lat. Przywieziono do Łodzi do domu babci zawiniątko, które wszyscy członkowie rodziny przyjęli z entuzjazmem. Po rozpakowaniu okazało się chudą dziewczynką o bardzo białej skórze. Krzyczała. Razem z nią przyjechały zabawki – piszczące słoniki i zajączki, kolorowe dżdżownice, wymyślne grzechotki w kształcie serduszka i wielobarwne łańcuchy, przyczepiane do łóżka lub wózka. Imponowały mi bogactwo i obfitość ekwipunku tej małej istoty. Byłam starsza od moich sióstr o dziewięć i dwanaście lat. To dużo, kiedy się jest dzieckiem. Kiedy się rodziły, czułam, że wszystkiego dla mnie ubywa.

Potrzebowałam ojca. Nie umiałam mu wtedy powiedzieć, jak bardzo. Wydawał się chwilami taki daleki. Nie znajdowałam w sobie winy. Za późno zrozumiałam, że byłam dla niego nie tylko córką, ale i figurą na szachownicy w rozgrywce z moją matką. Nie umiał jej przebaczyć porzucenia i braku miłości. Ale ja o tym nic nie wiedziałam. W moich oczach i w mojej głowie to on odszedł z domu. Często miałam wrażenie, że mnie nie lubi, a więc może to jednak ja byłam powodem jego odejścia?

Wracałam co niedzielę. Siadałam mu na kolanach. Żartował ze mnie, z moich dużych stóp, nosa, uczesania, ale nie umiałam się śmiać. Jego żarty bolały. Nawet to, że dużo czytałam, prowokowało kąśliwe uwagi. Wydawało mi się, że moje piątkowe świadectwa szkolne nie robią na nim żadnego wrażenia. Nie pamiętam pochwał z jego ust ani potwierdzenia,

że spełniam jego oczekiwania. Nie wiedziałam, co zrobić, żeby go zadowolić. A tego chciałam.

Dlaczego przez tyle lat do niego wracałam?

Szukałam go potem przez całe lata w mężczyznach w jego wieku. Nawet dziś, kiedy wszystko już wiem i rozumiem, trudno mi z tym żyć. Trudno się pozbyć żalu i głodu akceptacji.

Podobno był ze mnie dumny. Nigdy tego nie odczułam jako dziecko.

Pamiętam pocztówki z dzieciństwa, błyszczące, wielobarwne, czasem okrągłe lub bardzo długie. Wszystkie podpisywał „Tata". Kiedy dziś widzę kartkę, którą podpisuje tak samo jak przed tyloma laty, wraca tamten czas i tamta tęsknota.

Zawsze pisał długopisem, parkerem, czarnym lub niebieskim. „Te" stoi osobno na twardej nóżce, jego daszek-nakrycie łączy się niemal niewidzialną nitką z podstawą, także jest twarde i stanowcze. „A" wygląda jak „o" z niewielkim ogonkiem, zarysowanym łagodnie i łączy się z kolejnym „t", podobnym do krzyża, przyczepionego do małej literki „a". Tata. Mój tata. Kiedy to widzę, mam łzy w oczach.

W drodze do szkoły przechodziłam obok dawnego domu sierot doktora Janusza Korczaka. Znałam jego książki, ale nie miałam pojęcia, że sam był Żydem i że poszedł na śmierć ze swoimi żydowskimi wychowankami.

Byłam w drugiej klasie liceum, kiedy mój kolega, rudy Arturek, wygłosił na lekcji wychowania obywatelskiego pochwalną mowę na temat Hitlera, który rozwiązał problem żydowski. Mówił, że oczyścił Polskę z „żydowskich parchów", o co bezskutecznie starano się przed wojną. Wychowawczyni, rusycystka, nie protestowała. Ciągle nie rozumiałam, o czym jest mowa.

Nie rozumiałam, dlaczego mama rozpłakała się na filmie przedstawiającym warszawskie getto. Nie można jej było uspokoić. Nic nie wiedziałam o przedwojennej dzielnicy żydowskiej w Warszawie, a ulice Pawia i Miła z wierszy, które mi czytała, nie miały z tym nic wspólnego.

SEKRET

Krawiec Izaak Gutkind mógł się nazywać Jan Kowalski, imię Izaak nie miało żadnego piętna, brzmiało jak Mieczysław lub Piotr. Żydzi byli dla mnie równie odlegli jak Egipcjanie, równie egzotyczni jak Indianie. Na pewno żadnego nie znałam. Długo żyłam w tym przekonaniu.

Maturę zdałam z wyróżnieniem.

Świat książek zastępował mi codzienność. Na balu z Anną Kareniną czułam się lepiej niż na prywatce u koleżanki z sąsiedniego podwórka. Wolałam spacer z czechowowską panią z pieskiem od rzeczywistego. Literacka fikcja dawała tylko przywileje, pozwalała uczestniczyć bez konsekwencji. Tam byłam bezpieczna. Emma Bovary co prawda się otruła, ale można było zacząć czytać od początku. Nie widziałam nic śmiesznego w walce Don Kichota z wiatrakami. Zamiast ciotek i nauczycielek podziwiałam Fedrę i Antygonę, a kuzynka Bietka i wujaszek Wania tworzyli moją najbliższą rodzinę. Sztukowałam własny los, dostarczając sobie emocji ciągle mi niedostępnych.

Długo nie zdawałam sobie sprawy, że żyję w cudzej skórze. Nie miałam przeczuć. Nie stawiałam żadnych pytań. Nigdy nie przyszło mi przez myśl, że mama, moja mama, jest Żydówką. Równie dobrze mogłaby być Chinką. Nie mogłam tak pomyśleć. Bycie Żydem było czymś niegodnym. Było winą. To wynikało ze słów ojca.

Matka twierdzi, że zdecydowała się powiedzieć mi prawdę o swoim żydowskim pochodzeniu i wojennych losach, kiedy skończyłam dziewiętnaście lat. Ale ja tego nie pamiętam. Idąc za jej instynktem, ukryłam to nie tylko przed światem, ale i przed samą sobą. Potraktowałam jej tajemnicę jako upokorzenie i naznaczenie, jako coś, czego należy się wstydzić. Gdyby było inaczej, nie zataiłaby tego przede mną. Żydzi, o których istnieniu przedtem niewiele słyszałam, a którzy byli przedmiotem niepojętych ataków mojego ojca, nagle okazali się moimi krewnymi.

Ona milczała, żeby odgrodzić mnie murem, jak mówi, od wszystkiego złego, co mogłoby mnie w tym kraju spotkać z racji jej pochodzenia. Staram się zrozumieć, że był to dowód największej miłości matki do dziecka.

Wielu ocalonych Żydów wolało po wojnie w Polsce milczeć o swoim pochodzeniu. Przeżyli i postanowili, że nigdy więcej nie będą Żydami. Lepiej się nie przyznawać, nigdy nie wiadomo, kiedy znowu na ciebie zapolują. Nie chcieli czuć się jak zaszczute zwierzęta. Tego lęku przed upokorzeniem pragnęli oszczędzić swoim dzieciom. Wszystko było lepsze od pogardy.

Rodzina mojej mamy mieszkała na terenach Polski od dwóch stuleci. Dziadkowie ze strony jej ojca — Przedborscy i Hermanowie — należeli na początku XX wieku do zasymilowanej „arystokracji" żydowskiej miasteczka Łęczyca, odległego o ponad 100 kilometrów od Warszawy. Mieli kamienice, drukarnię, skład win i wódek. Pracowali społecznie jako radni miejscy. Goldsteinowie, ze strony matki, byli biedniejsi i ortodoksyjnie religijni.

Kiedy wybuchła wojna, moja mama miała iść do drugiej klasy szkoły powszechnej. Pamięta, jak część łęczyckiej rodziny przyjechała do Warszawy i wszyscy razem przenieśli się do getta. Mieszkali tam blisko dwa lata w coraz gorszych warunkach. A potem kolejno zabierano ich na Umschlagplatz i wywożono do Treblinki. Pojechała prababka i babka, jej siostry i bracia, córka z rodziną, kuzyni i kuzynki. Ponad dwadzieścia osób. Ci, którzy zostali w getcie w Łęczycy, zginęli w obozie w niedalekim Chełmnie nad Nerem.

Ocaleli tylko ci, którym udało się wyjść na aryjską stronę i ukrywać na fałszywych papierach. Prócz mamy i jej matki, którą zabito na ulicy pod sam koniec wojny, ocalała ciotka mamy z synem. I druga ciotka, siostra tamtej, zamężna z Polakiem. Ich brat, mój dziadek, spędził pięć lat okupacji w niemieckim oflagu w Woldenbergu.

Nie od razu dowiedziałam się tego wszystkiego. Przeszłość odsłaniano mi stopniowo i ciągle szeptem. Jakby nadal lepiej było tego nie wiedzieć. Jakby bezpieczniej było mieć cudze dokumenty. Być jak inni, nie wyróżniać się. Być Polakiem w Polsce. Obca skóra i teraz miała pomóc w przeżyciu, mimo że wojna dawno się skończyła i nie było Niemców.

SEKRET

Byłam za mała, by rozumieć, co działo się w Polsce w marcu 1968 roku. Nie znałam powodów, dla których moja ciotka z rodziną opuściła kraj. Antysemicka nagonka wygnała z Polski tę resztkę Żydów, którzy po wojnie zdecydowali się zostać i czuli się tu u siebie. Atmosfera marca musiała przypomnieć matce okres polowania na Żydów i utwierdzić ją w przekonaniu, iż postępuje słusznie, izolując mnie od wszystkiego, co ma z tym jakikolwiek związek.

Za wszelką cenę chciała mi oszczędzić lęku i upokorzeń, jakie ją spotkały. Chciała chronić mnie przed polskim światem, który – według jej oceny – mógł stwarzać zagrożenie. Zataiła przede mną prawdę i pozbawiła mnie prawdziwej tożsamości, w imię miłości i mojego bezpieczeństwa.

Nie jest dla mnie jasne, dlaczego przez pierwsze lata umiejętnie zamazałam to w sobie, nie dopuszczając do świadomości mojej drugiej połowy. Żyłam nadal tak jak przedtem, jakbym nic nie wiedziała. A przecież w ukryciu, na aryjskich papierach mojej matki.

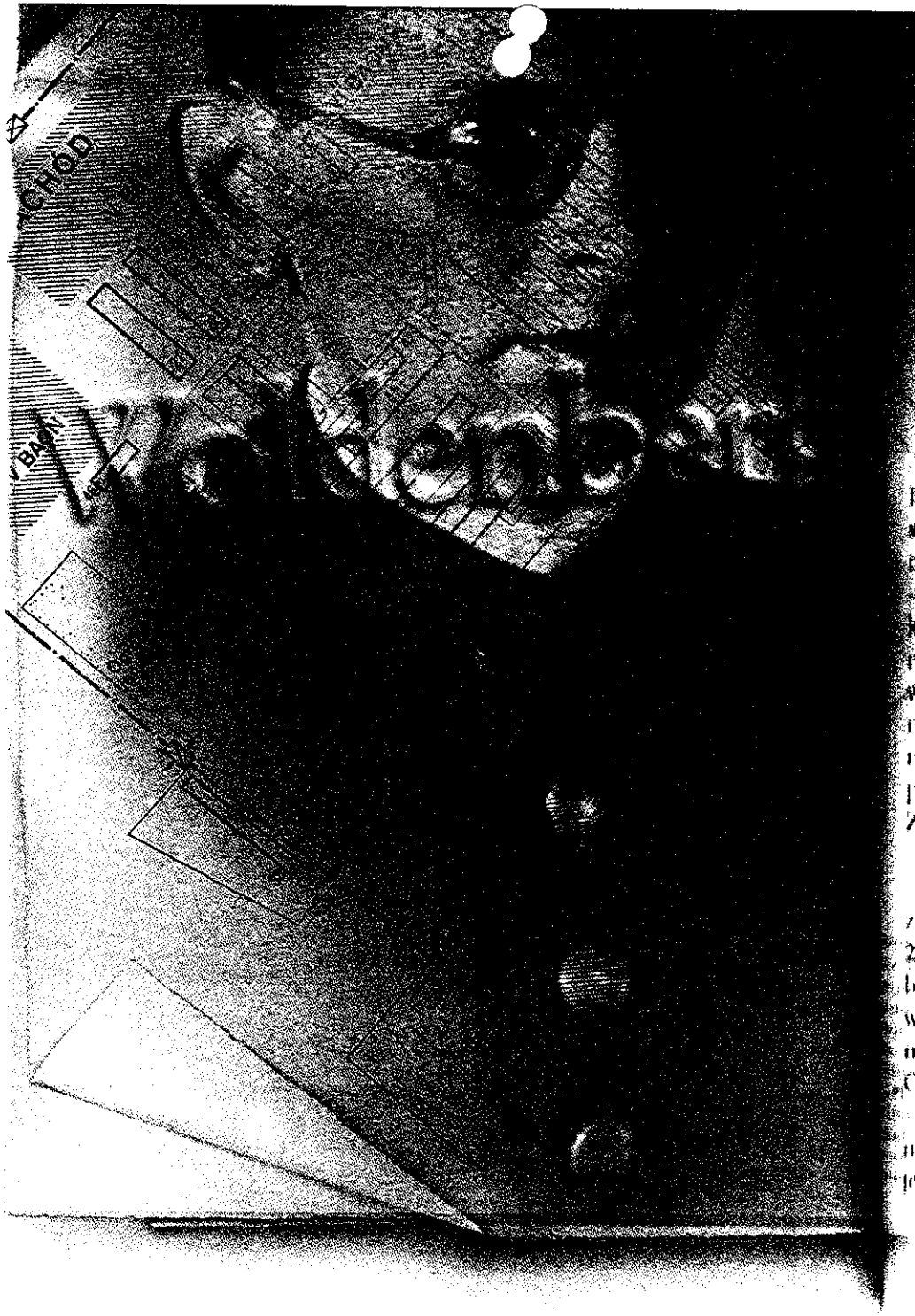

Przedborski Samuel. 49178/IVA Leutnant, Hohnstein, Saksonia. Nazwisko, numer ewidencji, stopień wojskowy i nazwa obozu, do którego wzięto go po upadku Warszawy. I dalej: Oflag IVB – Königstein, Oflag IIB – Arnswalde, Stalag IIB – Hammerstein, skąd 12 września 1940 roku został przeniesiony do Oflagu IIC – Woldenberg. Nic więcej. Nie ma żadnego innego śladu obecności podporucznika Przedborskiego w jenieckim Oflagu IIC na Pomorzu. Poza kilkoma listami w szaroniebieskich kopertach z nadrukiem Kriegsgefangenenpost, stalowym numerkiem, nazywanym „psim znaczkiem", blaszanym kubkiem i łyżką, podstawowym wyposażeniem jeńca. Nic więcej. Żadnych wspomnień. Zostały wygnane.

Pierwsza ocalała kartka – pierwszy po wyjściu z Warszawy znak, że żyje – miała stempel pocztowy Hohnstein (Saechs. Schweiz) z datą 27 stycznia 1940 roku i okrągłą pieczęć Oflag IVA. Kartka pocztowa, beżowy kartonik zapisany od góry do dołu kiepską niemczyzną, adresowana była do żony – Frau D. Przedborska – na Krasińskiego 18. Jako nadawca figurował inżynier podporucznik rezerwy Przedborski Samuel. Odpowiadał na jej pospieszne wiadomości z 27, 29 i 30 grudnia.

Najważniejsza informacja, jaką przekazywał, dotyczyła nietykalności mieszkań oficerów, zgodnie z ustawą dotyczącą ochrony jeńców wojennych z roku 1929 (podkreślone). Widocznie o to najbardziej bała się

ZAMUTEK

Dela, chciał ją uspokoić. Jeszcze mieszkały z córką na IV Kolonii WSM na Żoliborzu, pod numerem 142.

Pisał, że nic mu nie trzeba, wszystko kupuje ze swoich poborów, nawet ciastka. „Nigdy z najmniejszą szkodą dla was".

„Dobranoc moje najdroższe", kończył, bo kończyła się kartka. „Gute Nacht meine Liebsten". Nigdy już więcej nie był tak czuły. Może mu było łatwiej w obcym języku. Nie widzieli się czwarty miesiąc.

Wszystko dopiero miało się zacząć. Na razie, mimo niewoli, dom ciągle znaczył dom i wydawało się, że obowiązują jakieś prawa. Że jest się czego trzymać.

Oflag IIC Woldenberg zbudowany został rękami polskich jeńców wojennych zimą 1939/1940 roku i wiosną. Jako obóz jeniecki funkcjonował od maja 1940 roku. Wedle pierwszych statystyk przebywało w nim nieco ponad sześć tysięcy jeńców, w większości oficerów września 1939 roku.

Nie wiem, czy w dzieciństwie i młodości słyszałam słowo „Woldenberg". Wydaje mi się, że nie słyszałam go wcale. Nawet wtedy, niedługo przed śmiercią, kiedy dziadek zaczął wspominać o niewoli, nie używał tej nazwy. Jakby była zaklęta, naznaczona ciężarem przerastającym jego siły. Mówił o niemieckim oflagu i przekonana byłam, że wojnę spędził w Niemczech. Nie starałam się nawet wyobrazić sobie tego miejsca ani stanu ducha zamkniętego za drutami młodego mężczyzny. Nosił skorupę, której nie próbowałam przeniknąć. Milczał wyzywająco.

Zabolało go bardzo, że kiedy wrócił z obozu, nikt go tu w Warszawie nie traktował jak męczennika. Co więcej, ktoś z rodziny powiedział: „Tobie to się udało, przesiedziałeś całe pięć lat w luksusowej niewoli".

„Matuś – skarżył się swojej drugiej, powojennej żonie – jak oni mogli mi tak powiedzieć? Jak mogli?"

Na najwyższej półce orzechowej serwantki, tam gdzie nikt nie zagląda, znalazła przypadkiem drewniany grzybek do cerowania. Podała mi go ostrożnie i opatrzyła suchym komentarzem. „To było narzędzie pracy Szymona w Woldenbergu. Nie wolno ci tego zgubić. Ani zapomnieć".

Tyle.

Grzybek nie wygląda jakby odsłużył swoje. Ma jasny błyszczący kapelusz, tajemniczą sprężystość formy i blask. Jest twardy, z jesionu lub olchy. Lipa ma inną fakturę, podobnie jak grusza, jakby topiły się pod wpływem dotyku. Nóżkę można odkręcić i używać jako schowka na igły. Igieł ani nici wewnątrz nie znalazłam. Innych znaków również.

Przez dłuższą chwilę trzymam grzybek w złożonych dłoniach. Nie poddaje się, oporny, zaklęciom. Staram się przywołać miejsce i czas, w którym towarzyszył mojemu dziadkowi, wówczas młodemu oficerowi rezerwy w niemieckiej niewoli.

Skarpet brakowało. Szczególnie ciepłych skarpet. A zwłaszcza skarpet w dużych rozmiarach. Skarpety były w cenie. W samych drewniakach nie dawało się wytrzymać. Ciągnęło od betonowej podłogi. Mieli za mało koców, więc skarpety nakładano także do spania. Nie można było sobie pozwolić na wyrzucenie zużytych lub podartych skarpet. Skarpety należało oddać do reperacji. Przynosili czyste i brudne, prane i przepocone, znoszone, cuchnące. Cudze brudy musiał brać do rąk, przybliżać do twarzy, źle widział w okularach do dali.

Był głodny.

Płacili za cerowanie. Płacili pieniędzmi i jedzeniem. Brał też papierosy, chociaż nie palił, ale najlepiej nadawały się na wymianę.

To wszystko trzeba było zorganizować, i grzybek, i nici, zamówić. Przysłali potem w paczce na nazwisko kolegi specjalne mocne nici w kilku kolorach, najlepiej szły czarne i brązowe, i igły z dużym oczkiem. Ciężko było nawlec kilkanaście dziennie. Lepiej oczy oszczędzać. Przydał się też metalowy naparstek, litościwie przez kogoś podarowany. Z czasem nauczył się układać dziurę równiutko na kapeluszu grzybka, robił supełek, podwójny, bo wełna ma duże oczka, i zaczynał od prawej strony. Z prawego brzegu na lewy, zaczepić i z powrotem, z prawa na lewo jak Tora. Baruch ata adonaj, nie modlił się, cerował, prawo, lewo, prawo, lewo, i dalej z góry na dół, pomiędzy włóknami utkanej już kanwy. Mamrotał pod nosem. Zaczynał ze złością, cichł potem.

Siedział na swojej pryczy, nie mogę się zdecydować – na dole czy na górze, mizerne światło, przenikliwe zimno, uporczywy zapach zgnilizny.

ZAMUTEK

Nie wiedział już skąd, z nóg nie mytych, przepoconych, popękanych, poocieranych czy z wilgotnych ścian, przegniłych sienników wypchanych słomą lub ścinkami papieru. Na kąpiel można było liczyć raz w miesiącu, bielizny nie zmieniano wcale, coraz więcej mnożyło się pcheł.

Cerował skarpety w jenieckim oflagu. Z głodu. Pięć gramów mięsa dziennie. Gorzej znosił głód niż upokorzenie.

Od Woldenbergu chciał się odciąć.

Byłam przekonana, że wizja lokalna będzie wymagała podróży do Niemiec. Nie przypuszczałam, że groźnie brzmiący Woldenberg to Dobiegniew, stara osada rybacka na skraju Puszczy Drawskiej na Pomorzu. Obóz postawiono w odległości kilometra od ostatnich zabudowań miejskich. Ale miasto nie przypomina dawnego, palone przedtem wielokrotnie, podczas wojny zostało niemal w całości zniszczone. Odbudowane w żałosnym kształcie socjalistycznego marzenia.

Dobiegniew, nazwany po słowiańsku, stał się dla jeńców konspiracyjnym pseudonimem Woldenbergu. Używali go jak szyfru, wierząc, że jest w tej nazwie ukryta obietnica: „Dobiegnie-my", myśleli. „Dotrwamy do końca wojny".

Stanęłam przed zniszczoną bramą wjazdową obozu ponad pół wieku po tym, kiedy mój dziadek przekroczył ją na dobre i po raz ostatni, opuszczając obóz, i poczułam, że robię coś, czego nie powinnam. Przyjechałam tu, by odwrócić bieg zapomnienia. Wejść w przestrzeń nie istniejącą już nigdzie poza przeszłością, nawet w mojej rodzinie zamkniętą. Może nie rozliczoną, ale też uznaną za niemożliwą do rozliczenia. Wchodziłam w zaklęty krąg drutów, próbując rozszyfrować ich zardzewiałą mowę.

Nigdy nie byłam za drutami, nigdy nie musiałam być. Obóz, rozciągający się na przestrzeni blisko 20 hektarów, otoczono na dwa i pół metra wysokim, podwójnym płotem z kolczastego drutu. Ich zwoje umieszczono też w przestrzeni między ogrodzeniami. Ustawiono osiem wież strażniczych z karabinami maszynowymi. I ostrzegawczy napis — „Jence woyenne stoy". Tu zaczynała się strefa ognia.

Drut wyznaczał granicę dostępnego im świata. Dzielił go na ciasną konieczność codzienności i podszytą tęsknotą nierzeczywistość marzenia. Cenzurowane listy na wojennej papeterii łączyły ich z domami i rodzinami lub tym, co po nich pozostało. Nie torturowano ich. Nie zmuszano do pracy. Tylko zamknięto. I owszem, karmiono: tysiąc czterysta kalorii dziennie, czarny chleb, zupa z brukwi lub jarmużu, zbożowa kawa. I lęk.

Żyli „za parawanem genewskich praw" — jak pisał obozowy poeta. Chronieni siłą przepisów prawa międzynarodowego, świadomi jednak, że w każdej chwili mogą zostać pogwałcone. Jeńcami Oflagu IIC interesował się Heinrich Himmler. Planował pozbawić ich statusu jeńców wojennych i wysłać do obozów koncentracyjnych. Nie opuszczało ich poczucie zagrożenia.

Nie wiedzieli, jak skończy się dla nich kolejny dzień, kolejny miesiąc, rok, wojna.

Wielu ginęło, rzucając się na druty. Inni przecinali je nożycami saperskimi lub miesiącami ryli podkopy. Każdy sposób był dobry, by wyrwać się z ich obezwładniającego kręgu. Ucieczka lub śmierć. Czasem znaczyły to samo.

„W Woldenbergu — napisał Marian Brandys — ludzie nie ginęli pod obcasami SS-manów jak w Oświęcimiu. Terapia woldenberska polegała na doprowadzeniu ludzi do obłędu".

Dwadzieścia pięć baraków z czerwonej nie otynkowanej cegły, rozsypanych po obu stronach wewnętrznej drogi, obóz Wschód i obóz Zachód. W środku terenu kilka budynków gospodarczych — kantyna, łaźnia, świetlica. Niskie dachy z desek lub płyt cementowych pokrywała kiedyś papa. Umieszczone w ścianach szczytowych drzwi otwarte są na oścież w geście jakiegoś gwałtu, małe okienka, dawniej zamykane na noc okiennicami, tworzą teraz niewielkie potłuczone oczodoły. Drobne świńskie oczka w ruinie mitu. Drewniane wieże strażnicze przypominają sen o niemieckiej potędze, kawałek gotyckiego napisu nad bramą próbuje świadczyć o przeszłości, ale to pobojowisko zniknęło z pamięci dziejów, tak zwyciężonych, jak zwycięzców.

ZAMUTEK

Po wojnie na terenie największego niemieckiego obozu jenieckiego dla polskich oficerów założono wzorową tuczarnię trzody chlewnej. Jej pierwszym dyrektorem został były więzień w stopniu majora. Dziś wylane cementem, na wpół zburzone, na wpół rozkradzione baraki z korytami dla świń wydają się drwić z historii.

To miejsce rozsypuje się w rękach czasu. Życie z jego nieugiętymi prawami zatriumfowało nad przeszłością, zdominowało ją, porosło chwastem. Zatarło i starło z powierzchni rozpleniającej się codzienności. W Dobiegniewie panuje bezrobocie – „Najgorzej o robotę, jakąkolwiek", „Nawet kraść, pani, nie ma już co". Z większości baraków, w których kiedyś mieszkali polscy jeńcy – „Kwiat polskiej inteligencji, proszę pani" – powyrywano futryny okien i drzwi. Kiedy pozabierano legary i zaczęły się walić dachy, wyrwali główną bramę wjazdową, a cegłę to już bez skrupułów jak swoje wynieśli i nadal wynoszą. Cegła, mimo świń i chemikaliów, jeszcze jest zdrowa. Okres tuczarni mieszkańcy wspominają z rozrzewnieniem, pracę mieli, czternaście tysięcy świń hodowali, czysta robota, uboju nie było, tylko tuczarnia, co piąta puszka szynki eksportowana na Zachód pochodziła z ich świń.

Burmistrz Dobiegniewa proponuje zostawić jeden budynek obozowy, ten, w którym dziś jest niewielkie muzeum woldenberczyków, a resztę wyburzyć i przeznaczyć na działalność gospodarczą. Potrzebne są pieniądze, żyć trzeba, można też wyciąć i spieniężyć drzewa.

Po co komu ta ziemia niczyja, po co zrujnowany kawałek pamięci. To miejsce niczemu nie służy, nie ma racji bytu. Nawet jeśli na cokolwiek jest dowodem – na siłę ludzkiego ducha czy siłę upokorzenia. Chodzę ostrożnie pomiędzy barakami, na zewnątrz i w środku, chodzę korytami dla świń i zarośniętymi ścieżkami jeńców. Zaglądam do dawnego aresztu i kantyny. Gdzieniegdzie piętrzą się cegły poskładane w sterty, gotowe do wywózki.

Chodzę, żeby zapamiętać. Pierwsze drzewa – brzozy i jesiony – posadzono na tym terenie wiosną 1941 roku. Topole muszą być o wiele późniejsze, choć wyrosły wysoko. Odnajduję barak z numerem 12a, jego barak. Nie różni się specjalnie od innych. Pusty wydaje się nawet przestronny. Przy wejściu był ustęp, z którego mogli korzystać tylko w nocy.

Dalej sala mieszkalna, czyli prycze. Trzypiętrowe prycze i stopień obok siebie rusztowania prycz. Sto do stu pięćdziesięciu osób po jednej stronie, kompania. I oddzielona umywalnią druga kompania po drugiej stronie. Osiem kompanii tworzyło batalion.

Staram się wymierzyć barak, wiem, że on na pewno to zrobił, znałam jego upartą dokładność. Sześćdziesiąt metrów na dziesięć. A więc do trzystu osób mieściło się na powierzchni sześciuset metrów kwadratowych. Plus ich dobytek – walizki i tobołki, plecaki i kartony, plus, po kątach, jakieś ławy i stoły. I jeden kaflowy piec. Po dwa metry kwadratowe na osobę, nie licząc sprzętów. Nie potrzeba liczyć, nie dawało się przejść, nie potrącając sąsiada. A jeszcze zawiesina papierosowego dymu. Ciągły gwar głosów. Stała obecność innych. Ani chwili nie przestawali być, nawet w nocy. Nawet we śnie.

Wychodzę z ulgą.

Był kolejno w trzech oflagach, zanim trafił do Woldenbergu, w Hohnstein, Königstein i Arnswalde. W wyniku akcji rejestrowania polskich jeńców, podlegających paragrafowi rasistowskich ustaw norymberskich, przeniesiono go wraz z innymi oficerami żydowskiego pochodzenia do obozu przejściowego Stalag IIB w Hammersteinie (Czarne), skąd – wedle słów Niemców – wszyscy mieli zostać zwolnieni. Faktycznie szykowano dla nich transporty do planowanych gett w kraju lub do obozów koncentracyjnych. Nie wiadomo, co zadecydowało o tym, że w ostatniej chwili hitlerowcy zaniechali tego zamiaru. Po kilku miesiącach jeńców odesłano do ich macierzystych obozów lub też, jak jego, do Woldenbergu. W Oflagu IIC we wrześniu 1940 roku znalazła się grupa osiemdziesięciu sześciu jeńców – polskich oficerów pochodzenia żydowskiego. Zakwaterowano ich wszystkich w baraku 12a, zwanym odtąd w obozowej mowie „żydowskim barakiem". Żydom zakazano przenoszenia się do innych baraków.

Miał żydowskich przodków do trzeciego pokolenia wstecz, a nawet dalej. Wydaje się, że od razu umieszczono go w baraku 12a.

Nastroje po upadku Francji pełne przygnębienia. Utrata nadziei na rychły koniec wojny. Coraz gorsze wieści z kraju. Rozpacz. Pierwsze

wypadki samobójstw i obłędu. Wtedy powstała myśl stworzenia teatru. Nie mogli mieć złudzeń, że wojna szybko się skończy. Nie miał złudzeń i on. Musiał wiedzieć, jak wszyscy, że to potrwa, że należy jakoś się tu urządzić. Zbudować jakąś strukturę, w której ramach da się wytrzymać. Improwizować, nie pozwolić samym sobie pogrążyć się w klęsce. Byli stosunkowo młodzi, ciągle jeszcze silni.

Na sześć do siedmiu tysięcy jeńców Woldenbergu 90 procent stanowili młodsi oficerowie, z tego ponad połowa podporuczników. W większości rezerwiści – nauczyciele, naukowcy, inżynierowie, literaci, politycy, aktorzy. Był w Oflagu IIC jeden generał i trzystu starszych oficerów. Byli profesorowie uniwersytetów, były premier Rzeczypospolitej, wielcy obszarnicy i małorolni chłopi. Średni wiek jeńców obliczono na trzydzieści siedem lat, co znaczyło również, że 70 procent nie przekroczyło czterdziestki. Byli ciągle zdrowi i sprawni. Świadomość, że niewola może rozciągnąć się na lata, wzmagała konieczność działania.

Najbezpieczniej było leżeć na własnej pryczy. Tu się jadło i pisało, czytało książki, rozmawiało, szyło. Czasu było dużo. Za dużo. Niezmierzone przestrzenie czasu.

Sienniki wypchane słomą lub wiórami drzewnymi gniły, nie zmieniane od miesięcy. Rozmnażały się pchły i pluskwy. Z czasem każdy miał dwa koce. Zagłówek. Bielizny pościelowej nie było. Niektórym przysłano z domu poduszki i kołdry. Szafki, wieszaki, taborety robiono własnoręcznie z kradzionych Niemcom materiałów. Wciąż nie starczało miejsca dla wszystkich. Brakowało światła. Panował półmrok, choć sześć 25-watowych żarówek świeciło się przez ponad pół dnia. Mnożyły się seanse spirytystyczne.

Było zimno. Dokuczało robactwo. Nie tylko pchły, brunatne pchły, także pluskwy. Nie pomagała dezynsekcja. Dezynsekcja przy użyciu kreozolu. Nazywano ją świętem pchły. Nie mógł pogodzić się z tym, że zostali pobici. To było równie nieznośne jak głód, jak niepewność, co dalej, z nimi tutaj i z rodziną tam.

Zamknął to w sobie. Robactwo i brud, brak wody w kranach, zatęchłe sienniki, pleśń. Zaduch zgnilizny. Głód. Dotkliwy głód pierwszych dwóch lat.

Czekał na paczki i bał się o paczki. Że nie dotrą, że makaron się pokruszy, że nie będzie nic słodkiego, skąd miałoby być, czy one same widziały od wybuchu wojny czekoladę? Paczki dostawali inni, paczki z cukrem i kiełbasą, z konserwami mięsnymi i suszonymi owocami. Długo czekał, a potem prosił. Też długo. Dopiero później, dużo później, zaczęto przysyłać dary z Ameryki. Najważniejsza była w nich margaryna i kawa Nesca, wkrótce najcenniejsza waluta obozowa.

Jakiś czas był w spółce, ale czuł się jeszcze gorzej, nie dzielono jedzenia sprawiedliwie. Wycofał się.

Norma wynosiła dwie paczki miesięcznie, na które dostawali zezwolenia, zwane nalepkami. Tylko paczka z nalepką docierała do adresata. Paczki społeczne i dary rozdzielano pomiędzy wszystkich.

Czasem wstrzymywano dostawę paczek, jedzenie się psuło, gniło. Tego też się obawiał. Marnowało się coś, co one tam w dalekiej Warszawie odejmowały sobie od ust. Fasola przychodziła wymieszana z cukrem, tytoń z kaszą, rozłupane szpulki od nici z połamanym makaronem.

Na środku każdego baraku stał piecyk. Przyrządzano na nim żywność otrzymywaną w paczkach. Używano też pomysłowych kuchenek z dmuchawami. Woldenberska „kręciołka" składała się z koksowego palnika oraz mechanicznego miecha, skonstruowanego sprytnie z dykty, blachy i starych sznurowadeł. Używano jej do parzenia kawy, odgrzewania zup, robienia szpinaku z lebiody i gotowania pęczaku. Była prawdziwie zbawiennym wynalazkiem, dzięki któremu jeńcy uniezależnili się od Niemców w sprawach gospodarczych. Nie wyobrażano sobie bez niej obozowej egzystencji.

Drażnił go zapach cudzego jedzenia.

Magazyn mundurowy obozu uzupełniał swoje zasoby wraz z podbojami Hitlera. Stał się najbardziej widocznym dowodem potęgi Wehrmachtu. Nie wiem, w jaki strój przebrano podporucznika Przedborskiego. Mógł mieć na sobie ciemnozieloną bluzę z narciarskich jednostek wojsk norweskich albo granatowy uniform duńskich policjantów, ale ten miał czerwony kołnierz. Najbezpieczniej wyglądały piaskowe bluzy holenderskich celników. Szykowne trencze belgijskiej gwardii królewskiej nadawały się na

paradę. Nieco później przywieziono mundury armii francuskiej. Całą gamę, błękitne bluzy spod Verdun i oliwkowe, w których poddano Paryż.

Ubrania dobierano zależnie od rozmiaru, trudno było dopasować odpowiedni, szczególnie dużym i wysokim. A potem przebrane tak, pstrokate postaci rozchodziły się po terenie obozu. Oficerowie jak z cyrku. Najpierw wybuchali śmiechem na swój widok, potem przestali to zauważać. Najważniejsze, że było im cieplej. I tylko czasem, gdy ktoś wracał do baraku, na przykład po dłuższej nieobecności w izbie chorych, stawał w progu zdumiony, widząc przed sobą zjawy jak z fantastycznych kaprysów Goi (to określenie Mariana Brandysa). Pierwsze wrażenie trwało chwilę. Potem rozmywało się i gasło. W tłumie, w nikłym świetle 25-watowych żarówek i w kłębach dymu.

Pierwsza wizytacja Oflagu Woldenberg IIC przez delegację Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy odbyła się 23 października 1941 roku. Wedle ich zapisu, obóz przedstawiał widok „bardzo przyjemny", a baraki wydały się „szczególnie czyste i dobrze utrzymane". Odzieży wystarczało, pilnie potrzeba było koców. Z natrysków korzystało około 200 osób dziennie.

Obóz podzielony był na dwie sekcje: wschodnią i zachodnią. Każda z tych sekcji miała własną bibliotekę, złożoną z pięciu tysięcy tomów, beletrystyka osobno i książki naukowe osobno. Większość książek w języku polskim, mała część w angielskim, francuskim, rosyjskim. Doskonale zorganizowany uniwersytet, oddzielne sale wykładowe. Duża liczba więźniów zajęta teatrem.

Zapisano, że potrzebne są piłki do gry w piłkę nożną i ręczną. W podsumowaniu stwierdzono, iż obóz woldenberski „nie przedstawia nic szczególnego". Nazwano go „przeciętnym", morale polskich jeńców oceniono wysoko.

Leżał. Dużo leżał. Tak było łatwiej. Tak starał się odizolować od innych. Tak pokazywał swoją niezgodę na tamtą rzeczywistość. Na to, że jest wojennym jeńcem, ale gorszym niż inni. Czuł to od początku i boleśnie. Nauczył się słowa „dyskryminacja", smakował jego brzmienie i sens. Jeszcze raz i jeszcze, gorycz w ustach.

Czy przysięgał inaczej niż inni? Na czym polegała jego inność?

Rota przysięgi dostosowana była do poszczególnych wyznań.

Wszyscy, prócz bezwyznaniowców, zaczynali podobnie: „Przysięgam Panu Bogu..." Dalej dopiero zaczynały się różnice. Chrześcijanie mówili: „Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu..." Wyznawcy judaizmu poprzestawali na „Panu Bogu Wszechmogącym", muzułmanie nazywali swego Boga — „Jedynym". Ale dalej, dalej wszyscy chcieli tego samego — „być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej" — powtarzał wtedy i teraz powtarzał raz jeszcze — ojczyźnie... polskiej... — „chorągwi wojskowej nigdy nie odstąpić, stać na straży honoru żołnierza polskiego, prawu i Naczelnikowi Państwa być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, do ostatniego tchu w piersiach za sprawę Ojczyzny mej walczyć i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski".

Czasami, przed wojną, ze względu na babkę chodził w święta do synagogi, nigdy sam, z własnej potrzeby. Ojciec też robił to wyłącznie dla swojej teściowej, a matka, matka żyła z Bogiem w zgodzie. Jej Bóg nie cierpiał na krzyżu, tak się zdarzyło, że wyrośli z innego pnia — ale czy na pewno innego? Jego babka, Salomea z Hermanów, twierdziła, że należeli do kohenów, kapłanów. Czasami bał się Boga. Czasami modlił się o matkę, martwił o jej zdrowie, budził się w nocy ze strachu, że może umrzeć, że go opuści.

Gdzie teraz jest matka? Teraz, kiedy on tu leży i gnije, myśli — gdzie ona jest? Ostatni adres podawała na Lesznie, w dzielnicy żydowskiej. Żydzi są w Warszawie razem, przyjechała do rodziny, są razem w jednym mieszkaniu. I inni Żydzi, sąsiedzi, są obok. Razem nic złego nie może im się stać. Niemcy wydali Mozarta i Haendla. Dela uczy dzieci, jak w Łęczycy, razem jedzą kolacje. Matka czesze swoje długie włosy. Zaplata w warkocze na noc, a rano, jak zawsze, upina na wałek albo w kok. Ale w jaki sposób oni zostali zamknięci, jak jest się zamkniętym razem z kawałkiem miasta, z ulicami, sklepami, podwórzami, z cukierniami i warsztatami szewskimi? Gdzie przebiega mur, środkiem ulicy, wzdłuż domów, jak go postawiono, z cegły? Mur dla Żydów, przed Żydami. Mur.

ZAMUTEK

„Zmobilizowany w trzecim rzucie we wrześniu 1939 roku, w stopniu podporucznika", pisał Samuel Przedborski w powojennych papierach wojskowych. „Odbyłem kampanię wojenną jako zastępca dowódcy biernej obrony przeciwlotniczej na Pradze w 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej. Po upadku Warszawy dostałem się do niewoli niemieckiej".

Spośród 500 tysięcy jeńców polskich, żołnierzy wziętych do niewoli we wrześniu 1939 roku, 10 procent stanowili oficerowie o żydowskich korzeniach.

Wyodrębnianie grup narodowych z żołnierzy jednej armii celem ich specjalnego traktowania pozostawało w kolizji z postanowieniem artykułu 4 konwencji genewskiej. Mimo to Niemcy stosowali je przez całą wojnę. Geneza żydowskich gett obozowych pozostaje niejasna.

Widzę go, jak leży. Ciężki, nieruchomy, olbrzymi. Czarne włosy ostrzyżone krótko przy skórze, widać sklepienie głowy, czasem, gdy odwraca się na drugi bok, pokazuje ciemną, nie ogoloną twarz z kilkudniowym zarostem. Codzienne golenie nie było obowiązkowe. Ani mycie. Takiego można się go było bać. Pamiętam go podobnego niemal pół wieku później, w pasiastej pidżamie, też tak leżał, też tak milczał.

Czasu im nie brakowało. Cztery godziny do zabicia przed obiadem i mniej więcej tyle samo po obiedzie. Brakowało witamin i żyletek, papieru i pasty do butów.

Leżał na pryczy. Albo cerował. Przez pierwsze lata cerował. Inni chodzili na wykłady, czytali książki, grali w szachy i karty, przygotowywali programy artystyczne, działali w klubie sportowym, pisali listy, rzeźbili w rogach baranich, grali na akordeonach, plewili grządki, udzielali się towarzysko, cokolwiek miałoby to znaczyć.

Podziwiał tych, którzy czytali. Miał do dyspozycji już ponad dwadzieścia tysięcy książek w jenieckiej bibliotece, i ciągle ich przybywało. Miał czas. Nie mógł się zmusić do lektury.

Dym. Tylko w jednym baraku nie palono tytoniu. Wedle zgodnej obozowej opinii, powietrze było tam nieznośne, a przebywanie w nim niegodne prawdziwego mężczyzny. Nauczył się żyć z dymem.

Zimą zamykano baraki o 17.30, latem nieco później. Tylko dwa razy w roku, podczas świąt Bożego Narodzenia i w Nowy Rok, można było zostać na powietrzu do wieczora. Po zamknięciu drzwi życie barakowe toczyło się dalej. To wtedy można się było dowiedzieć, co naprawdę dzieje się na świecie. Czytano redagowany przez jeńców dziennik obozowy i gazetkę konspiracyjną. Starano się czytać, co w świetle nikłych żarówek było prawie niemożliwe. Rozmawiano, opowiadano. Słowa, słowa, ciągle słowa.

Porucznik B. z baraku kawaleryjskiego ukradł z półki kolegi dwudziestogramową porcję margaryny. I zjadł. Oficerski sąd honorowy wykluczył go z korpusu oficerskiego. Po trzecim odwołaniu i trzecim wyroku poderżnął sobie gardło brzytwą. Pochowano go z honorami.

W baraku 15a, gdzie mieszkali oficerowie o arystokratycznym pochodzeniu, planowano gwiazdkowe przyjęcie za zaproszeniami po francusku i z obowiązkową francuszczyzną do konwersacji. Pielęgnowali rytuały magnackiej rezydencji w Łańcucie.

W drugim batalionie powstał punkt sprzedaży wrzątku na kawę i herbatę.

Znowu skonfiskowano nielegalną bimbrownię na terenie obozu. Cena litra lichej wódki wzrosła do stu marek. Pędzono alkohol z cukru, ale próbowano też z marmolady, fasowanej u Niemców.

W ich baraku podporucznik Stefan Askanas — ten miał pomysły — niespożyty, założył prywatny zakład kąpielowy. Za dwie lagermarki można się było umyć o dowolnej popołudniowej porze, codziennie z wyjątkiem świąt. Chętnych do noszenia wody ze studni, za opłatą, było wielu. Pozyskanie drzewa lub brykietów to już trudniejsze zadanie. Ale radzono sobie przecież ze zdobywaniem nawet bardziej wyszukanych rzeczy.

Nie umiał zdobywać i nie chciał. Niewiele chciał i ze wszystkim się pogodził. Ze wszystkim, prócz tego, że zadecydowano o jego rasowej

przynależności i umieszczono go w baraku naznaczonym, cóż z tego, że metaforycznie, gwiazdą Dawida. Czuł się napiętnowany.

Odsunął się od wszystkich, choć zapewne przed wojną chętnie utrzymywałby przyjacielskie kontakty z wieloma sąsiadami z prycz baraku 12a.

Większość stanowili zasymilowani inteligenci, synowie neofickich rodzin, którym Hitler przypomniał o ich pochodzeniu. Od pokoleń legitymowali się polską narodowością, głęboko wrastali w polską kulturę. Manifestowali zarówno swoje liberalne poglądy społeczne, jak i związek z Polską, a nawet Kościołem.

Podporucznik Ludwik Natanson był fizykiem. Natansonowie traktowani byli wciąż jako żydowska arystokracja, mimo że od kilku pokoleń przyjmowali chrzest. Lutek Cohn należał do II Międzynarodówki, Stein, psychiatra, studiował Spinozę i Kanta, filozof Walfisz estetykę. Kilku inżynierów znał z politechniki. Z kilkoma prawnikami i ekonomistami zetknął się przy różnych okazjach w Warszawie.

Obok nich pod tym samym szyldem i w tej samej przestrzeni umieszczono małomiasteczkowych Żydów, związanych silnie z tradycją religijną i językiem przodków, traktujących wciąż Polskę jako wygnańczą diasporę. Jako etap drogi. Żyli dotąd koszernie w świecie przykazań Mojżesza. To ich bóżnice płonęły w Europie. Pachnieli czosnkiem, nawet jemu.

Wspólne mieli jedynie prapraprababki.

Co go łączyło z kramarzem z rodzinnej Łęczycy lub woziwodą? Cóż miał z nimi wspólnego? Otóż miał — przeszłość. Nie chciał do niej zaglądać, nie z nią pragnął się utożsamiać. Niezgodę miał w sobie. Na pewno nie był jedyny, wielu musiało analizować ów wewnętrzny konflikt ciągle od nowa.

W każdy piątek barakowa umywalnia zmieniała się w żydowski dom modlitwy. Nie mógł uwierzyć w ich upór i siłę. Powinien myśleć o tym w kategoriach cudu, znając sytuację okupowanej Europy, ale wywoływało to raczej zdumienie. I opór. Okna zakrywano szczelnie kocami, na jednym z nich umieszczano gwiazdę Syjonu, palono świece. Wydeptywano kołysaniem betonową podłogę. Podporucznik Natan Cyrank pełnił

funkcję kantora. Wzywano Boga hebrajską prośbą. Podobno w dniach świąt religijnych znajdowano coś, co przypominało tałesy, modlitewne szale. Koledzy czuwali, czy nie zbliża się straż.

W tej samej umywalni w dni powszednie modlili się katoliccy członkowie bractwa różańcowego, mieszkańcy tego samego baraku.

Wyłuskani z armii matrycą ustaw norymberskich byli sobie dalecy i obcy. Różnili się światopoglądem i miejscem w społecznej hierarchii. Różnili się religią i narodowością. Kancelaria adwokacka i salon połączone ze sztetl. Żadna z jenieckich wspólnot nie była tak różnorodna.

Rzadko włączał się do rozmowy. Często słuchał, co mówią. Sami o sobie, dla siebie, czasem w obecności innych. Przychodzili też na pogawędki koledzy z innych baraków. Wielu opowiadało na zamówienie, o podróżach, o gwiazdach, o filozofii. Zapamiętał sprawozdawcę radiowego, który często improwizował relacje z zawodów sportowych i olimpiad. Do ulubionych należała ta z biegu na 10 tysięcy metrów w Los Angeles w 1932 roku, gdzie zwyciężył Janusz Kusociński.

Omijał łukiem ekskluzywny barak 15. Wydawało mu się, że dla tych kawalerzystów i rotmistrzów, dla Sapiehów i Potworowskich, Czetwertyńskich i Mycielskich zawsze pozostanie Żydem łaciarzem. Dawali mu to odczuć. Wymachując rękami, szydzili z akcentu i sposobu mówienia jego kolegów. Powtarzali, że Żydzi rodzą się zawsze po lewej stronie barykady. I wiedzą, jak się urządzić. Podobnie niezręcznie czuł się w towarzystwie oficerów marynarki. Patrzyli na nich z góry, z wysokości nieosiągalnych skarbów ich paczek mundurowych i tytoniowych. Dbali o nich koledzy z Anglii. W ciągu miesiąca dostawali tyle, ile inni w ciągu roku. To wzmagało ich pychę. Próbowano przydzielać ich dary do innych baraków, ale występowali do starszyzny obozu z zażaleniami.

Nie, nie czuł, że są równi. Nie czuł tego od początku. Chociaż tak samo gryzły ich pchły, tak samo mogli biegać, studiować, pisać listy i tyle samo dano im czasu. Oglądali te same przedstawienia i igrzyska sportowe, stawali na tych samych apelach i tych samych słuchali rozkazów.

ZAMUTEK

W pewnej chwili rozeszły się pogłoski o zamiarze odrutowania baraku 12a. Starszyzna obozu ostro się temu sprzeciwiła. Nigdy do tego nie doszło. Protestowali także przy okazji kolejnych pogłosek o zamiarze wywiezienia oficerów pochodzenia żydowskiego.

Polskie kierownictwo obozu zajmowało twarde stanowisko, że wszyscy oficerowie bez wyjątku byli oficerami Wojska Polskiego. Próbowano zlikwidować wyjątkowość baraku 12a przez dokwaterowanie tam Polaków. Starszym baraku był na przemian jeniec pochodzenia żydowskiego, kawaler Krzyża Virtuti Militari, i rdzenny Polak, znany szermierz.

Był ów barak obiektem szczególnej ciekawości niemieckich funkcjonariuszy, którzy odwiedzali go „jak ogród zoologiczny".

Słyszał hasła prawicowców nawołujące do bojkotu ich baraku. Nie patrzył im w oczy. Czasem niechęć innych odczuwał nieomal fizycznie. Kaleczyła. Złapano pewnego podporucznika, członka obozowego ONR, gdy chciał wrzucić do skrzynki pocztowej donos do Abwehrabteilung na kolegę ukrywającego przed Niemcami żydowskie pochodzenie. Sąd honorowy nie uznał tego za wystarczającą podstawę, by wykluczyć winnego z Korpusu Oficerskiego.

Nie umiał docenić, że kilku Żydów ukrywało się nadal w polskich barakach. Nie umiał przyjąć paczkowego jedzenia, którym się z nim dzielono. Rzeczywiście, Polacy ujmowali się za nimi za niesprawiedliwy podział paczek społecznych. W większości byli po ich stronie, traktowali ich przyjaźnie, tak jak innych. A przecież coś go męczyło, niepokoiło. Czuł przyzwolenie ze strony Niemców na dyskryminację żydowskich jeńców i nie znajdował w nikim oparcia.

W domu grał na skrzypcach. Podobno miał talent, gorzej z cierpliwością. Skrzypce przywiózł ze sobą do Warszawy, kiedy przyjechał na studia na Politechnikę. I zostawił, idąc na wojnę, w swoim pokoju na pierwszym piętrze. Tak bardzo chciałam znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o jego graniu w obozie. O muzyce, którą kochał, i o skrzypcach. Nie znalazłam. A tyle tu miał możliwości, dwie orkiestry symfoniczne, jedna kameralna.

Może próbował, może tylko nie potrafił się skupić, nie umiał zmusić? Może już wtedy zrezygnował? Nie chciał czytać ani uczyć się, powtarzać słówek ani rysować projektów rozwoju spółdzielni mieszkaniowej. Może próbował. Może mu nie wychodziło? Może pociły się ręce i drżały powieki? Albo serce biło przyspieszonym rytmem i musiał się na chwilę położyć? Może tak się zaczęło jego leżenie? To były typowe objawy choroby drutów kolczastych.

Do czego jeszcze się nadawał, do czego, co można robić wspólnie, czym można przytulić się do innych, poczuć bezpieczniej?

Na przykład mógł grać w karty. Lubił brydża. Byli tacy, którzy całe pięć lat przegrali, licytując cztery piki i szlemiki bez atu. Mógł grać w szachy. Mógł prowadzić wykłady z budowy dróg i mostów, z konstrukcji i statystyki, miał praktykę jako kierownik robót budowlanych. Mógł wreszcie uczyć się. Na co czekał?

Tymczasem odwrócił się do ściany. I tak trwał. Tyłem do świata. W geście unieważnienia tego, co dokoła. Zaprzeczyć istnieniu. Taki miał cel.

Ściany pokryły się pleśnią.

W drugim roku niewoli pozwolono jeńcom założyć ogródki warzywne. Były tuż obok baraków. Nie sądzę, by uprawiał grządki, ale może chodził tam odpoczywać i patrzeć, jak rosną te wszystkie niezwykłe rośliny, pomidory czy rzodkiewki, które nie tylko wyglądały jak nie z tego świata, ale jeszcze nadawały się do jedzenia. Znikał wtedy na chwilę z jego twarzy wyraz czujnego napięcia. Oddychał inaczej, patrząc na młode listki.

Mogli wysyłać miesięcznie dwie karty pocztowe i jeden list. Wypełniał limit, ale nie prosił o więcej. Nie umiałby chyba więcej napisać. Dużo miejsca poświęca w nich sprawom finansowym. Zgodnie z konwencją genewską oficerowie z Oflagu IIC otrzymywali żołd. Jak większość kolegów przeznaczał go na wysyłkę do rodziny. Jako podporucznik dostawał miesięcznie 72 lagermarki, porucznicy otrzymywali o 12 marek więcej. W przekazach na teren Generalnej Guberni za jedną markę liczono dwa złote. Prosił o potwierdzenia otrzymania pieniędzy.

ZAMUTEK

Na początku było mu ciężko, ale potem, potem chyba mógł czytać, uczyć się, wkuwać słówka, robić projekty i omawiać je z kolegami po fachu. Taki praktyczny, jak mógł trwonić czas, pozwalać mu płynąć tak bezwładnie? Mieli wielką bibliotekę, zabraną przez Niemców Rydzowi-Śmigłemu, niemieckie wydawnictwa dostarczały im książek i samouczków językowych. Studiowali arabski i astronomię, historię filozofii i ekonomię. Niektórzy zaczęli się obsesyjnie uczyć. Chcieli zaprzeczyć klęsce, bezproduktywnemu upływowi czasu. Z tłumu statystów przekształcali się w pierwszoplanowych uczestników rozmaitych kursów i członków kół naukowych. Samokształceniowa anarchia rozpleniła się ponad miarę. Ale wkrótce wzięto ich w karby dyscypliny i zorganizowano prawdziwy wielki jeniecki uniwersytet.

Uciekali w najdziwniejsze światy. Jeden z kolegów tłumaczył staroindyjską *Ramajanę* wierszem i ilustrował ją rysunkami. Mówiono, że to najpiękniejsza rzecz, jaka w obozie powstała.

Uciekali w obce słowniki i słówka. Studiowali język Szekspira i Victora Hugo, ale i Sofoklesa, i Owidiusza.

Uciekali w to, co najbliżej, lub w to, co najłatwiej.

Wybieram się na spacer wzdłuż drutów. Część obozu dla jeńców, nie licząc niemieckich zabudowań, miała kształt zbliżony do kwadratu o obwodzie około 1700 metrów. Tyle wynosiła średnio dzienna trasa spacerowa, bardziej wytrwali i spragnieni ruchu na powietrzu przechodzili ją kilka razy. Po obrysie, dookoła terenu, wzdłuż drutów, jedno okrążenie. Obowiązkowy rytuał przed wieczornym apelem, tuż przed zamknięciem baraków. Nazywali to „zrobieniem kółka". Spacerowali zawsze odwrotnie do ruchu wskazówek zegara. Niecałe dwa kilometry. Ile przeszedł w ten sposób przez pięć lat bez trzech miesięcy? Tysiąc osiemset dni i każdego dnia ponad kilometr, średnio, raz więcej, raz mniej. To jest około dwóch tysięcy kilometrów. Dwa tysiące kilometrów to jakby siedemnaście razy przejść z Warszawy do Łodzi albo sześć razy do Krakowa.

Kiedy staram się rozwiązać to zadanie, od razu się denerwuję. I stają mi przed oczyma wszystkie te sceny, kiedy dziadek próbował mi wytłumaczyć zadania z matematyki. To jeszcze jest w miarę proste, najgorsze

było z kilkoma osobami, które wyruszyły z różną prędkością z punktu A i szły do punktu B. Na przykład on wyszedł z baraku 12a o 4 po południu i szedł do sali teatralnej na przedstawienie *Zemsty*, aha, z prędkością X. Nie spieszył się, zawsze wychodził odpowiednio wcześniej. Poza tym chodził szybko, dużymi krokami, jakby odmierzanymi zainstalowaną gdzieś wewnątrz miarą. Jego kolega, Danek, jeszcze grał w karty, chciał się odegrać, więc wyszedł z baraku kwadrans później. Z jaką szybkością musiałby biec, żeby zdążyć na przedstawienie o 5.00? Uff!

Można by mnożyć przykłady. *Zemstę* Fredry zagrano w obozie 34 razy, za jednym razem mogło ją obejrzeć tyle i tyle widzów. Niektórzy przychodzili więcej niż raz. Ile razy... itd.

Krążę wśród resztek drutów, resztek chlewni, pokruszonych cegieł. W strukturze niesprawnej pamięci. Porównuję furtki i przejścia, płoty i ogrodzenia wewnętrzne, zapory, jakie musieli pokonywać wtedy i jakie ja staram się pokonać, by do nich, tamtych, dotrzeć.

Świat pozacierał po sobie ślady. Jest mi zimno. Idę dalej, bo wiem, że trzeba, żeby mi tu było zimno.

Zastanawiam się, dlaczego nie pisał. Dlaczego miałby pisać? Próbuję po latach zarazić go moją obsesją zapisywania. Tylko zapisane istnieje. Nie takiego szukał pocieszenia, nie takiego ratunku. Bał się pisać, zapisane mogło zdradzić. Pozacierał ślady. On pierwszy. Moja matka, jego córka, wzięła to po nim, może to jedyne, co najgłębiej odziedziczyła. Zatrzasnąć przeszłość. Zabić deskami.

Dochodziłam do wartowni. Niewiele razy przekraczał tę bramę. Muzeum mieści się na terenie przedobozu, w jednym z budynków mieszkalnych przeznaczonych dla Niemców. Obok stoi ciągle dawne kasyno. Ma tę samą dębową podłogę.

Kiedyś któryś ze współwięźniów zebrał wszystkie zdjęcia dzieci, jakie ktokolwiek miał. Amatorskie, często podniszczone zdjęcia synów i córek jeńców. Dużo ich było, może dwieście, może trzysta. Tylko dzieci. Po-

rozwieszał je na ścianach w obszernej sali, jedno obok drugiego. Główki i twarze, postaci na kolanach i wyprostowane, stojące z innymi, na rowerze i w wózku, w czapeczkach, beretach, kapelusikach. Wiele nocy nie mógł spać. Widział ciągle te buzie, roześmiane i zamyślone, oczy, setki par oczu, ile z nich przeżyło? Te zdjęcia mieli przy sobie, wychodząc z domu, dostawali je w paczkach lub listach, trzymali w kufrach i szafkach, przypinali pinezkami na pryczach. Siedem tysięcy mężczyzn, niewielkie miasto, tysiące dzieci grających w piłkę, w chowanego, uczących się pisać i czytać, uważnie słuchających listów z Woldenbergu, które matki lub starsze rodzeństwo odczytywali im kilkakrotnie, żeby lepiej zrozumiały. Uciekali z sali. Płakali lub milczeli. Czy jeszcze mieli dzieci? Co z nich zostało i co zostało z ich miłości do ojców, po roku, dwóch, trzech latach nieobecności? Tata w niewoli, tata wróci. Tata? Mój tatuś?

Moja mama nie widziała go pięć lat. Kiedy wyszedł z mieszkania na Krasińskiego, miała osiem lat, kiedy przyjechał po nią na kolonie do Wilgi, miała czternaście i nosiła stanik. Nie chciała iść z tym czarnym olbrzymem, który nazywał się jej ojcem. Nie pasowało do niego znajome imię „tatuś". I nigdy już nie pasowało.

W obozach były radioodbiorniki. Funkcjonowały konspiracyjne gazetki. Co wiedziano o sytuacji Żydów? Jakie tutaj przenikały informacje o gettach, akcjach likwidacyjnych, transportach do Treblinki i Bełżca, Chełmna i Oświęcimia? Jeńcy Żydzi czuli się stale zagrożeni, w każdej chwili mogli być wywiezieni i zgładzeni. Muszę znać prawdę, ustalić, co wiedzieli, ile wiedzieli, co robili z informacjami, jakie docierały z zewnątrz. To musiało być najgorsze. Bezsilność. To jak stać za murem i patrzeć na palące się getto, gdzie zostali najbliżsi. Ten kwiecień, ta wiosna, ten rok 1943, co o nim wiedzieli? Wielki Tydzień warszawskiego getta, Żydów Warszawy.

Na początku kwietnia dostali z Czerwonego Krzyża trochę cukru, herbaty, po siedemdziesiąt papierosów, plus jedną paczkę na barak. 10 kwietnia było pochmurno i padał drobny deszcz. Woda w kranach była. Ktoś na kuchence zrobił przysmak – naleśniki z serem. Udały się. Apele popołudniowe zaczęto znaczyć sygnałem rogu-trąbki. 11 kwietnia.

Pogodnie, a potem duże zachmurzenie. 15 kwietnia prasa niemiecka ubolewała w dalszym ciągu nad bestialstwem bolszewickim dokonanym na polskich oficerach w Katyniu, ujawniono liczbę czterech tysięcy zabitych. Po obozie krążyły pogłoski, że zbrodni tej dokonali Żydzi. Niemieckie łodzie podwodne zatopiły dwadzieścia jeden statków alianckich. 18 kwietnia, Niedziela Palmowa, msza święta o 9.30. Wiosna ustaliła się, zboże i trawa zaczęły się ładnie zielenić, drzewa mają już małe listki. Obozowi ogrodnicy czekali na nasiona rzodkiewki, marchewki i inne, chcieli wykorzystać skopane grządki. Zbierali koński nawóz. Dwa potężne konie rasy meklemburskiej zjeżdżały co rano z furgonem, żeby wywieźć śmieci. 22 kwietnia otrzymali po odrobinie chałwy, kakao i mleka z darów Czerwonego Krzyża. Dyżurni mieli urwanie głowy z dzieleniem. 23 kwietnia zaczęły kwitnąć sady. 24 kwietnia odwiedzano grób Jezusa, po południu noszono do święcenia sucharki i sól.

W czwartym roku niewoli dostawali paczki z Kanady, papierosy angielskie, znakomitą herbatę z Tel Awiwu, z Kairu ryż, bezcenny na żołądek, z Turcji rodzynki, czekoladę i kakao z Wenezueli. Dostarczono też bruliony, z którymi dotychczas było krucho. Tego lata dużo korzystali ze słońca. Opalali się, brali udział w zawodach lekkoatletycznych. Rekord obozu w skoku wzwyż wynosił 165 cm. Silne wiatry powybijały szyby w oknach baraków. Woda zaczęła przeciekać podczas ulewnych deszczy. Skrzypkowie grali kaprysy Paganiniego, kwartety kameralne Mozarta i Schuberta. Byli syci.

W czwartym roku niewoli Niemcy osnuli druty przewodami elektrycznymi.

Kim był w tym stadzie posegregowanym na kompanie i bataliony? Inżynierem? Mężem? Ojcem? Synem? Nikim. Nic nie mógł nikomu dać, nikim się nie opiekował i nikogo nie ochraniał, nie ryzykował nic dla nikogo. Tłum upodobnił go do trybu w wielkiej maszynie, jaki daremny się czuł, jaki nieważny. Jeszcze gdy leżał, nie usiłował przynajmniej temu wyrokowi zaprzeczać. Drażniła go gorączkowa działalność innych, te kursy, wykłady, wyścigi, byle coś robić, byle zaprzeczyć oczywistości klęski. Po co się bawić w imitację życia, po co się nie poddawać, po co

ZAMUTEK

udawać, że jesteśmy kimś, że jeszcze coś z nas zostało, nasza wiedza, nasze uczucia, nasza duma? Nie ma nas, koledzy, nie macie co udawać. Pisać sztuki, tłumaczyć Szekspira, studiować sanskryt. Dziergajcie kilimy, haftujcie serdaki, dłubcie w drewnie i składajcie filozoficzne konstrukcje, bawcie się w cyrk i olimpiadę, jeśli to wam pomaga, jeśli rzeczywiście oddala wasz strach. Tylko mnie zostawcie w spokoju, nie dotykajcie mnie, idźcie stąd. Zostawcie mnie samego.

Grajcie dalej. Szach i mat. Mat. Wczoraj ktoś znowu rzucił się na druty.

Jeden jedyny raz pragnął w obozie coś mieć, choinkę z kolczastego drutu. Wolał ją od choinki z chleba. Ale może to dobrze, że kolega nie chciał mu jej dać ani sprzedać. Nie wyglądałaby najlepiej w ich baraku z gwiazdą. Po wojnie każdego roku sam kupował i ubierał wielką, sięgającą sufitu choinkę. Po osiemdziesiątce położył się do łóżka. I wtedy wróciło obozowe marzenie. Tylko mnie zostawcie w spokoju. Idźcie stąd.

W raportach z wizytacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z Genewy jest tylko jedna wzmianka o oficerach pochodzenia żydowskiego. Zapisana 25 lutego 1944 roku po rozmowie z mężem zaufania. Na stwierdzenie, że osiemdziesięciu sześciu oficerów Żydów pozostaje bez kontaktów z rodzinami i bez żadnych wiadomości o ich losach, zobowiązano się przesłać do Genewy listy z nazwiskami i adresami rodzin do sprawdzenia.

Amerykańskie mundury z bielizną i butami dotarły do obozu w połowie 1944 roku. Miały błyszczące guziki podobne do złotych dwudziestodolarówek. Obudziły w jeńcach męską próżność, przez lata skutecznie tłumioną błazeńskimi strojami z magazynu. Zabrano się za naszywanie polskich dystynkcji oficerskich.

W końcu sierpnia alianci wyzwolili Paryż. We wrześniu walki przeniosły się w rejon Antwerpii i Brukseli. 20 października do obozu przyjechało stu oficerów z powstania warszawskiego. Witano ich z honorami. Opowiadali o walce i o sytuacji w okupowanym kraju. Warszawa w gruzach. 30 listopada Samuel Przedborski, mój dziadek, skończył czterdzieści jeden lat. Bez echa. Wyzwolono Lotaryngię i większą część Alzacji. Armia niemiecka podjęła ofensywę w Ardenach.

W styczniu 1945 roku naloty na Rzeszę trwały. Norymberga mocno ucierpiała. W połowie stycznia zaczęto mówić o ewakuacji. Jeńcy zbierają swój dobytek. Szyją plecaki z czego się da.

Barak muzeum jest zimny i przygnębiający, jak trzeba. Sprzęty obozowe — prycze i taborety, szafki i miski — wydają się małe. Podobnie wiszące na wieszaku mundury. Prawie niemożliwe, by należały do dorosłych mężczyzn w sile wieku. Czuję się jak wtedy, kiedy zwiedzałam po latach moją szkołę, w której gubiłam się na korytarzach, a na schody trudno mi było się wdrapać.

W baraku muzealnym zgromadzono dokumentację, dowody na to, że wszystko, co działo się za drutami, działo się naprawdę. Są tam płyty nagrobkowe z obozowego cmentarza i druty. Napisy wyryte na cegłach. Jest piecyk do gotowania wody i dmuchawa, tak zwana kręciołka. Lusterko made in Woldenberg. Metalowe znaczki identyfikacyjne. Jest fragment belki stropowej ze schowkiem na radio. Jest misternie rzeźbiona papierośnica ze skrytką do przemycania grypsów. Są rękopisy sztuk i afisze teatralne, pamiątkowy karnecik z rysunkiem przedstawiającym graną postać, dla każdego z aktorów Fredrowskiej *Zemsty*. Są kukiełki i maski. Nóż z kości zwierzęcej do otwierania listów. Srebrne sygnety. Drewniany model łodzi z dwoma żaglami. Zapalniczki. Pudełeczko z zieloną inkrustowaną koniczyną. Kasetki intarsjowane w winogrona. Jest krzyż z postacią Chrystusa, umocowany nad wejściem do jednego z baraków. Setki drzeworytów, także ilustracje do *Don Kichota*.

Są tysiące fotografii. Z wystaw szopek, z koncertów Brahmsa i Offenbacha, z przedstawień *Cyrulika sewilskiego* i *Marii Stuart*, zawsze mężczyźni w rolach kobiecych, z występów cyrku Neumanna, z wielu zawodów sportowych.

Nigdzie nie ma Samuela Przedborskiego. Nie ma jego zdjęcia. Nie ma jego nazwiska. Ani w sekcji zielarskiej, ani w chórze męskim Echo. Ani w kółku literackim, ani w jednej z kilku orkiestr, choćby mandolinistów.

ZAMUTEK

Nie ma go w tajnym nurcie pracy konspiracyjnej ani w konkursie spółdzielczej zabudowy wsi. Nie ma w kole techników budowlanych i drogowo-wodnych ani w mistrzostwach w siatkówce. Nie zachowała się jego karta biblioteczna ani żadne świadectwo ukończenia kursu. Były kursy motorowe i pszczelarskie (życie pszczół, hodowla matek, choroby pszczół, produkty pszczele), kursy żeglarskie i kupieckie. Wedle statystyk uczestniczyło w nich 90 procent jeńców. Zachowały się indeksy z zaliczeniami wykładów, ćwiczeń, kolokwiów i egzaminów. Są czyjeś notatki z wykładów profesora Michałowskiego z egiptologii. Nie jego.

Nie ma go ani wśród sportowców, ani wśród kibiców. Nie starał się o zdobycie jenieckiej odznaki tężyzny. Obejmowała w grupie wiekowej do 40 lat: marsz, czas okrążenia — 19 minut, rzut piłką lekarską — 17 metrów, pchnięcie kulą — 13 metrów, skok w dal — 3,5 metra i bieg.

Jest wiele karykatur, nie ma go wśród nich.

Jakby go wcale nie było.

Istniały zarządzenia niemieckie zakazujące udziału oficerów pochodzenia żydowskiego w życiu kulturalno-oświatowym obozu. Ale przecież ignorowano je. Zdarzało się, że Niemcy skreślali z programów odczytów i wykładów nazwiska żydowskie. Ponawiano jednak próby. Ulubionymi aktorami jenieckiego teatru, pianistami, skrzypkami byli artyści mający niearyjską krew.

Nie chcę wszystkiego tłumaczyć strachem.

To musiało być w końcu stycznia 1945 roku, kiedy władze obozowe kazały przygotować się do drogi. Zima była mroźna. Ewakuacja, pieszo, w głąb Niemiec. Nie na to czekali. Jeśli czekali w ogóle. Wyzwolenie miało mieć inny smak. Nie spali. Pakowali się długo. Plecaki nie mogły pomieścić jenieckiego dobytku. „Obrośli w pierze". Jaki dziwny jest język, to, w co obrośli, trudno nazwać tymi słowami, a przecież nie dało się spakować wszystkiego, co mieli. Miski i sztućce, noże, książki i listy, ubrania i jedzenie.

Budowali sanki. Bez namysłu niszczyli z trudem przez lata zdobywane stoliki, półki i taborety. Sanki wydawały się teraz najważniejsze. Pozwolą

zabrać jak najwięcej. I nagle ci, którzy nie mieli nic, starają się zmieścić swoje skarby robinsonów, by nic się nie zmarnowało. Nagle ci, co nie mają, są lepsi od tych, którzy mieli. Gromadzący zapasy na czarną godzinę z bólem serca muszą się z nimi rozstać, tyle dobra znowu się zmarnuje, torby kaszy i grochu, konserwy jeszcze z początku wojny, trochę zawilgłe papierosy. Cukier i mleko pakowano do plecaków, słodkie mleko w tubie, które tak lubił, ułożył na wierzchu, pakowano książki i ciepłe ubrania, podobno zakopywano w słoikach obozowe manuskrypty.

Pakowali cały wieczór, paląc w piecach jak nigdy dotąd. Spalili prawie połowę desek z prycz. W barakach panowało niecodzienne gorąco. Za oknami suche, mroźne powietrze, gwiazdy. Nie wiedzieli, dokąd pójdą, ale perspektywa ruchu, zmiany miejsca wydawała im się obiecująca. Gdziekolwiek, byle za druty.

Nie byli przyzwyczajeni do marszu. Po latach spędzonych na niewielkiej przestrzeni ta droga wydawała się nie mieć końca. Rwał się oddech. Wiał wiatr. Po czterech dniach obóz Wschód rozlokował się na noc w majątku Dziedzice, w okolicy Barlinka. Kładli się, jak stali, w stodołach i chlewach. Nazajutrz około południa na przedpolach Dziedzic zobaczyli radzieckie czołgi.

Niemcy próbowali walki. Pocisk z radzieckiego czołgu eksplodował w stodole pełnej jeńców. Kilkunastu ranił, kilku zabił. Zostali na miejscowym cmentarzu.

Szymon był jednym z ponad trzech tysięcy jenców, którzy odzyskali wolność 30 stycznia 1945 roku.

Obrysy fundamentów. Nic innego nie przechował czas. W mieście gotycki kościół z rzeźbą Madonny Obozowej, dzieło jeńca oflagu, i szkoła ich imienia. „Woldenberczycy to byli wybrańcy polskiej inteligencji", mówią dzieci. Koryta i klatki dla świń. Po nich też nie ma już śladu.